№ 18. Warszawa, dnia 3 Maja (21 Kwietnia) 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Włodzimierska Nr. 2.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

SZCZĘŚLIWEJ PODRÓŻY.

Niema nic zabawniejszego nad ilustracyę obecnego, ustawicznie zaprzysięganego pokoju. Wszyscy weń wierzą, wszyscy go pragną, a jednocześnie każdy dzień przynosi z Europy jakąś nowinę o pomnożeniu liczby armat, okrętów, pułków jazdy, o podniesieniu budżetów wojennych, o „nadziejach" generałów, przepowiadających bliską „chwilę," w której żołnierze ujawnią swą dzielność. Nie brak przytem w owym pokoju skrytych kułaków, gniewnych zgrzytań i mimowolnych wybuchów nieprzyjaźni między dziennikami mocarstw, ślubujących sobie wieczną miłość. Lada wypadek, lada sprawa zdziera maskę udanej serdeczności i odsłania twarze gniewne, od wzburzonej krwi zaczerwienione. Mimo to jest a prawdopodobnie przez rok obecny i dłużej trwać będzie pokój — z wojennem obiciem.

Zbliżenie się Rosyi do Niemiec zrodziło pogłoskę, że pierwsza okupi ten sojusz ustępstwami celnemi. Byłaby to istotnie ofiara poważna i z pewnością najbardziej przez ks. Bismarka pożądana. Kto ma oczy zdrowe, widzi, że w naszych czasach wojna zaczyna zmieniać swój charakter, z politycznej staje się coraz bardziej ekonomiczną, toczy się nie tyle na polach bitew, ile na granicach i komorach. Państwom już nie chodzi, jak dawniej, o zdobycie ziemi, ale o otworzenie swobodnych, szerokich ujść dla swego przemysłu; traktaty handlowe przybrały znaczenie politycznych. Nic też dziwnego, że z prasy zagranicznej wybiegła wieść o ofiarach celnych Rosyi na korzyść Niemiec, jako owoc świeżo zawartego przymierza. *Kölnische Zeitung*, znane naczynie pruskiego nabożeństwa, wylała przed kilkunastu dniami taką tyradę. „W Rosyi gospodarstwo społeczne wielu gałęzi tak wynędzniało, że brak pieniędzy jest większym, niż w czasach wielkich wojen. Rolnictwo z każdym rokiem bardziej upada, przyciśnięte sztucznem i nadmiernem popieraniem przez państwo przemysłu, który mu odciąga potrzebne siły w kapitałach i ludziach. A jednakże przemysł rosyjski o współzawodnictwie z Europą na rynkach świata myśleć nie może. Dla tych rynków Rosya na długo jeszcze pozostanie jedynie dostarczycielką surowych produktów ziemi. Teraz byłaby pora odpowiednia dla odzyskania należnego krajowi stanowiska, zanim Ameryka i Indye zmonopolizują targ świata. Im w większą wzrośnie siłę przemysł Niemiec, Austryi i Francyi, tem trudniejszem będzie do utrzymania zamknięcie granic Rosyi, jeżeli ona rzeczywiście nie chce wyłączyć się a nadewszystko być wyłączoną z ogólnego handlu. Europa bowiem musi otwierać sobie zamorskie źródła zbytu, im bardziej rosyjskie będą się zamykać, a każde nowe źródło w Ameryce, Afryce lub Azyi przyciśnie rosyjskie gospodarstwo społeczne. My w Niemczech *wolelibyśmy naturalnie* wymieniać swoje płody z bliskim sąsiadem, niż wędrować za morze. Coraz głośniej odzywająca się pobudka do zakładania kolonij świadczy, że Niemcy poważnie myślą o ekonomicznem sięgnięciu po za morze. To znaczy, że usiłujemy ekonomicznie wyzwolić się z zależności od Rosyi i że ona straci jednocześnie szerokie pole handlowe. *Teraz właśnie* nadeszła pora wstrzymania tego nienaturalnego biegu rzeczy, gdy Rosya już nie sądzi, że Niemcy z Austryą żywią przeciw niej zamiary zaborcze. Jeżeli za pokojem politycznym nie pójdzie ekonomiczny, należy się obawiać, że *pierwszego nie zawarto na seryo.*"

Ot i wylazło szydło z pruskiego worka. Ale to szydło — mówiąc naszem przysłowiem — stanowi tylko „strachy na Lachy." Niemcy już od wieku blisko starają się „poważnie" ze swym przemysłem przeskoczyć za morze, podsadzał ich Roscher, podsadzały stowarzyszenia, kompanie, broszury i grube dzieła — dotąd daremnie. Nie wiodą im się kolonie i nie wiodą. Owa więc groźba, od której nasza również zainteresowana skóra wcale nie drży, zawiera w sobie tę tylko prawdę, że „niemcy woleliby wymieniać swoje płody z bliskim sąsiadem," woleliby zalewać swym lichym przemysłem lub zawojowywać bogatym wielkie obszary, rozpościerające się tuż za ścianą. Dostrzegły niebezpieczeństwo i gazety rosyjskie, bo *Nowoje Wremia*, schwytawszy pogłoskę o umowie handlowej, owinęło ją w następujące uwagi. „Naturalnie nowy traktat będzie zawarty na zasadach wzajemności, ale podczas kiedy łatwo dostrzedz, jakiego rodzaju ustępstwa my możemy zrobić na korzyść szląskich lub westfalskich fabrykantów, albo jakie ofiary poniesiemy dla interesu berlińskich bankierów lub pomorskich obywateli, żadna najmędrsza głowa nie zdoła wymyśleć, jakiego rodzaju ustępstwa ze strony Niemiec mogą przynieść korzyść rosyjskiemu handlowi i przemysłowi. Nie można przecież wprowadzić do handlowego traktatu zobowiązania, aby pruskie ministeryum wojny zaprzestało wzmacniać ciągle uzbrojeń nad rosyjską granicą, lub aby berlińscy żydzi raz nazawsze poprzysięgli przed swoimi rabinami nie spekulować na rosyjskich biletach kredytowych. Otóż to byłyby naprawdę poważne ustępstwa na naszą korzyść. A że tam niemcy przyznają np. w Hiszpanii spirytusowi rosyjskiemu też same prawa, z jakich oni korzystają, są to takie drobnostki, o których nawet mówić nie warto."

Czuła zatem rada „podniesienia gospodarstwa społecznego" została odtrąconą a „pokój ekonomiczny" za politycznym chyba nie pospieszy, gdyż dyrektor departamentu handlu i przemysłu w liście do *Now. Wremieni* oświadcza publicznie, że

wiadomość o układach z Niemcami w przedmiocie traktatu handlowego niema podstawy. Nic pozostaje przeto nic innego niemcom — jak „myśleć poważnie o koloniach,“ nam zaś, wystawionym na bezpośrednie uściski ich przemysłu — cieszyć się. Uznajemy wszystkie piękne strony swobody handlu, ale nie wątpimy ani na chwilę, że otwarta od zachodu granica zniszczyłaby nas wkrótce i może bezpowrotnie. To też oświadczenie dyrektora departamentu napawa nas taką radością, że rozgniewanym sąsiadom życzymy szczęśliwej podróży do zamorskich źródeł zbytu w Azyi, Afryce i Ameryce. Może dokonają tego gniewem, czego nie mogli dokonać talentem. Znamy Danaów i ich dary.

MEDYTACYE ZIEMIAŃSKIE.

(Odpowiedź druga).

Łatwiej słonia wyciągnąć z bagna, niż lud nasz dźwignąć w oświacie. Lud ten jest ciemnym i podejrzliwym, a chociażby temu byli winni nasi przodkowie, my rzeczywistości nie przerobimy nawet mocą nadludzkich poświęceń, których od nas wymagać niepodobna.

W tej sentencyi kryje się znaczna część filozofii szlacheckiej, której nie zarzucić nie można jako epikureizmowi, która jednak stoicyzmem być musi. Tak, stoicyzmem! Ponieważ obecny ustrój kapitalistyczny — jak to zaznaczyliśmy — pośrednio warunkuje nietylko stosunki ekonomiczne, ale i moralne, więc istotnie każdy ma prawo na szalę sądów społecznych rzucać swój egoizm. Ja posiadam 150 włók ziemi lub fabrykę — dlaczego mam się wyzuć z majątku dla innych, kiedy mi jest potrzebny? Również posiadam naturę uszlachetnioną, doskonalszą i wrażliwszą — dlaczego mam skazywać się na przykre apostolstwo, które mnie rozdrażnia i ofiarami obciąża? Są to bardzo słuszne pytania... samolubstwa. Ale nie należy z niemi przenosić się na inne stanowisko — altruistyczne, obywatelskie, patryotyczne. Bo jeżeli te wszystkie tytuły nie mają być szeregiem pustych dźwięków, jeżeli społeczeństwo milczącą ugodą obowiązuje się dla wspólnego dobra do pewnych poświęceń, to kto ją zawiera i do wynikających z dotrzymania jej zasług rości pretensyę, nie może filozofować egoistycznie, po epikurejsku. Gdyby jakaś dama światowa, zaproszona do pielęgnowania chorych w szpitalu, odparła, że ona nie chce spełniać uciążliwych i niebezpiecznych posług, przyznalibyśmy jej racyę. Ale wystawmy sobie, że tak mówi szarytka, lub że żołnierz nie nadstawia swych piersi w boju, a wreszcie, że całe społeczeństwo postanawia z konieczności być stowarzyszeniem szarytek lub armią żołnierzy! Wtedy chociażbyśmy samolubów uwolnili od kary, nie możemy im przysądzić zasługi. W dowodzeniach ziemian naszych tkwi ten zasadniczy błąd, że oni, określając swoją rolę, nieświadomie przypuszczają doskonałą obsadę innych, która im pozostawia tylko cząstkę zadania. Tymczasem życie nasze rozgrywa się często jak grecka tragedya, w której mężczyzni przedstawiali role kobiet. Często, albo — ściślej mówiąc — zwykle wszystkie stany muszą podejmować zadania, które gdzieindziej są powinnością osobnych czynników, podobnie jak biedny wyrobnik, oprócz zwykłej pracy, musi gotować sobie jedzenie, zamiatać izbę lub reperować buty, w czem bogaty wyręcza się służbą lub najmem. Najzupełniej wierzymy bankrutowi, że w pierwszych dniach swego ubóstwa doznaje uczuć rozpaczliwych, że przeszedłszy z 10 pokojów do jednego, ze smacznych i sutych obiadów do nędznych i skąpych, z wygody do niedostatku, wątpi o możności istnienia i działania w zmienionych warunkach. Ale gdy przed nim stanie konieczność i swym żelaznym palcem wskaże tę jedynie drogę ratunku, rozumny bankrut jej usłucha, nierozumny walczyć z nią zacznie i zginie. Nauka konieczności nie jest łatwą, ale żyć bez niej nie można; tymczasem my uciekaliśmy od tej czarnej księgi, usprawiedliwiając się tem, że głupia, okrutna, niesprawiedliwa. Wszystko to bywało zawsze prawdą, ale nie było nigdy usprawiedliwieniem. Mrozy podbiegunowe, burze, trzęsienia ziemi, zarazy są niewątpliwie głupie, okrutne i niesprawiedliwe, ale należą do warunków naszego bytu i dlatego liczyć się z niemi trzeba. Choćbyśmy całą przestrzeń napełnili skargami nieszczęśliwych, wulkan nie przestanie wybuchać a cholera zabijać. Podobna siła tkwi w stosunkach społecznych. W prawidłowym, w idealnym biegu rzeczy ziemianin nie powinien uczyć chłopskich dzieci, rozdawać książek, budować ochron itd., lecz powinien być tylko przemysłowcem rolnym. Ale cóż począć, gdy tych zadań właściwe czynniki nie spełniają i gdy ów przemysłowiec wyrokiem konieczności skazany jest na tę dodatkową pracę? Nie podejmie jej? Jako egoiście wolno mu to uczynić, jako obywatelowi kraju — nie. Nie idzie tu o samo współczucie, o samo miłosierdzie nad ciemnotą i ubóstwem, ale o korzyści ogólne z podniesienia umysłowych i materyalnych nizin, o uratowanie ich od zalewu niszczącej fali. Możnaby na szlacheckich stanowiskach strzedz spokojnie osobistej wygody i usuwać się od poświęceń na rzecz ludu, gdyby on nie był przedmiotem niebezpiecznego współzawodnictwa. Ale, niestety, miecz Damoklesa ciągle wisi a jego włosek staje się coraz cieńszym. Gdzie tylko „szlachcic,“ obojętny lub zniechęcony, odstąpi od nieokrzesanego i niеufającego mu chłopa, tam zawsze znajdzie się inny opiekun, który nad prostakiem rozpostrze swe skrzydła. Minęły dawno te czasy, kiedy zdradziecką kumą chaty była jedynie karczma; wtedy wolny od rywalów i zabezpieczony prawami dwór mógł sobie lekceważyć chłopskie mrowisko, które się koło niego roiło. Dziś mrówkojady wsuwają swoje długie i lepkie języki.

Zresztą, czy istotnie chłop nasz jest tak niedostępnym dla cywilizacyjnych wpływów, tak podejrzliwym, tak ogrodzonym przeszkodami, że wszelkie wysiłki filantropijne są daremne? Gdyby ktoś na te pytania odpowiedział twierdząco i bez żadnych zastrzeżeń, dopuściłby się stanowczo przesady, której zwykle dopuszczają się nasi ziemianie. Wszystkie pobudki do pracy w tym kierunku odpierają oni argumentem: przyjdź i zrób! Tymczasem znaleźli się między nimi tacy, którzy... zrobili, wydłubali w twardej skale bodaj wąską szparę i przez nią przepuszczają światło do głów ludu. Demokraci, pływający w teoryach i nie stąpający po gruncie rzeczywistości, mogą nie dostrzegać wielu tam i tworzyć sobie warunki iluzyjne, ale natomiast jako oddaleni rozstrzygają kwestye bezstronniej i ogarniają okiem

Lekcya kaligrafii.

W obszernej drugiej klasie normalnej szkoły ojców Bazylianów w Drohobyczu cicho jak makiem posiał. Zbliża się godzina „pięknego pisania,“ straszna dla wszystkich nie tyle samym przedmiotem, ile osobą nauczyciela. Wszystkich przedmiotów uczą tu bowiem sami „ojcowie,“ tylko dla kaligrafii najęli sobie świeckiego człowieka, jakiegoś byłego ekonoma czy karbowego, pana Walkę. Chociaż mu z nahajką chodzić obecnie już nie wypada, nie porzuca bodaj zwykłej trzcinowej laski i nigdy nie zaniedbuje robić znej odpowiedniego użytku. To też dzieci drżą już naprzód, a „piękne pisanie“ jest dla nich największą męką.

Mały Miron jeden tylko siedzi spokojny, prawie wesoły w ławce. Dziwi się, dlaczego naraz taka cisza zapanowała w klasie, kiedy jeden śmiałek wysłany na przeszpiegi, wbiegł do klasy i krzyknął: „Walka przyszedł!“ Bo Miron nie zna jeszcze pana Walki; on dopiero co przyszedł z wiejskiej szkółki, ojciec wpisał go do drugiej normalnej klasy u ojców Bazylianów, a dziś pierwszy dzień lekcyi. I chociaż na wsi w pisaniu nie celował, nie umiał ani pióra należycie wziąć do ręki ani wyciągnąć gładko i równo owych „włosków“ i „laseczków,“ to przecież był dzieckiem, które nie umie jeszcze trwożyć się niewiadomą przyszłością. Zdziwił się, dlaczego tak wszyscy zamilkli, lecz o przyczynę pytać swych sąsiadów nie śmiał, gdyż ich nie znał. Zresztą cóż to jego tak bardzo obchodzić mogło? Pośród tej strasznej i trwożliwej dla innych ciszy, on tem wygodniej oddał się najmilszemu swemu zajęciu — myślom o rodzinnej wiosce. Nie można powiedzieć, żeby tęsknił za nią, przedwczoraj dopiero porzuconą. Wiedział przecież, że w najbliższy poniedziałek znowu zobaczy ojca i matkę. Roił więc, jak to będzie ślicznie, gdy latem przyjedzie do domu, będzie mógł znowu swobodnie biegać po pastwiskach, siedzieć nad rzeczułką lub brodzić po niej za kiełbikami. Były to marzenia raczej wesołe, jasne, błyszczące, a nie tęskne, nie żałosne.

Mały Miron rozkosznie nurzał się w to piękno przyrody, rozkwitające w jego wyobraźni pośród szarych, chłodnych ścian bazyliańskiej szkoły, i nie wiedział nic o nadchodzącej burzy.

— A ty czemu nie przygotujesz sobie kajetu do pisania? — zapytał po cichu sąsiad Mirona, trącając go łokciem.

— Ha? — odrzekł chłopczyna, niemile zbudzony ze swego złotego snu.

— Kajet do pisania przygotuj! — powtórzył towarzysz i pokazał, jak należy poukładać zeszyty, jak kałamarz i pióro, wedle zaleceń pana Walki.

— Idzie już! idzie już! — przeleciał głuchy szmer po klasie, poprzedzający niby zbliżanie się jakiegoś groźnego mocarza. Na chodniku odbiły się kroki nauczyciela „pięknego pisania“ a przez gwałtownie otwarte drzwi, wszedł Walka. Miron spojrzał na niego. Był to człowiek średniego wzrostu, z krótko obstrzyżonymi włosami na okrągłej, baraniej głowie, z rudymi, krótkimi wąsami i rudą bródką. Jego szeroka twarz i szerokie, silnie rozwinięte policzki wraz z wielkiemi, na boki poodginanemi uszami nadawały mu wyraz tępego uporu i drapieżności. Nie wielkie żabie oczka siedziały głęboko w dołkach i zerkały stamtąd złośliwie, nieprzyjaźnie.

— Ano! — krzyknął groźnie, zamknąwszy za sobą drzwi klasy i machnąwszy gibką trzcinową laską.

Od tego okrzyku razem pochyliły się w dół głowy osiemdziesięciu i pięciu uczniów nad niebiesko i czerwono poliniowanymi zeszytami, jak w pochmurny letni dzionek od wiatru chylą się kłosy żyta. W ręku każdego chłopca trzęsło się pióro. Jeden tylko mały Miron, który nie znał jeszcze „porządków“ pana Walki, siedział obrócony twarzą do klasy i ciekawie wpatrywał się w nowego nauczyciela.

— A ty co?! — wrzasnął, zwróciwszy się do niego mistrz i prosto ku niemu skierował swe kroki.

Mały Miron osłupiał z nagłego przerażenia. Nieświadomym odruchem odwrócił się

szersze widnokręgi, niż ten lub ów „szlachcić,“ który wysnuwa socyologię z własnych jedynie interesów, uczuć i korzyści. Gdy mu chłopi wypasają zboże, wycinają las i kradną owoce, trudno, ażeby on w gniewie był należytym sędzią swojego z nimi stosunku lub sporu. Tu między dwie strony musi wejść inny żywioł i wyrokować. Komu te wyroki nie podobają się, niech ich nie przyjmuje, ale niech pamięta, że lud jest obecnie celem bardzo dla ogółu niepożądanych umizgów. Wypadki puściły go na licytacyę i ten się przy nim utrzyma, kto jemu da więcej. Najwięcej zaś dać mu może dwór. Nie należy zaś od tej licytacyi wycofywać się z wymówką, że ona wymaga zbyt wiele ofiar, że jeśli sami ją utrudniliśmy, to główne brzemię winy spoczywa na przodkach, bo konieczność targować się z nami nie będzie a przodkowie z grobu nie powstaną i kary za swe błędy nie poniosą. My żyjemy, więc my jesteśmy odpowiedzialni i musimy wziąść dziedzictwo przeszłości z dobrodziejstwem inwentarza, ze wszystkiemi jej nieszczęściami i długami. Przyjmując spadek, przyjmujemy zarazem jego zobowiązania—ciężkie, przygniatające, okropne, ale od niego nieodłączne.

KONWENCYONALNE KŁAMSTWA *).

I.

W chwili, kiedy pisma i pisemka, pod tysiącznymi kształtami i barwami puszczające w obieg fałsze o prawdzie, pozyskują smutną dla jej czciciela wiarę i jeszcze smutniejszą popularność, jakże mile zdumiewającym będzie głos, który wzywa jednostki i społeczeństwa do przetarcia sobie oczów, wypowiadając *prawdę o fałszach*. Oddawna już nie pamiętamy tak wymownej, tak podbijającej logicznością odezwy do rozumu, uczucia i oświeconego sumienia ludzkości. Nie *ognistymi języki*, lecz czerstwą, dotykalną argumentacyą autor dopomina się od społeczeństwa o praktyczny i teoretyczny owoc tej wysokiej świadomości, do której dojrzało ono ostatecznie. Ale co wyższą jeszcze sprawia nam rozkosz i zdumienie—to fakt, że dzieło M. Nordaua od końca roku minionego rozeszło się w sześciu wydaniach. Wsiąkły one, jak rosa niebieska, albo deszcz majowy w glebę wysuszoną zdrętwieniem umysłowem i wysoce uprzywilejowanymi sofizmatami. Ani sykania mędrców z przyprawną gwiazdą magów na czole, ani gromy sfer urzędowych z nad błękitnego Dunaju, nie powstrzymały gorączkowego ruchu czcionek drukarskich. Przeto zamierzając zapoznać czytelników, o ile pozwoli czas i miejsce, z najgłówniejszymi rysami dzieła, przedewszystkiem: witamy gorąco posłannika prawdy — „przychodzi on do swoich i poznają go swoi.“

W książce Nordaua mamy dwa główne działy: krytyczny i organiczny. Dział pierwszy autor poświęca na odmalowanie stanu budowy obecnego społeczeństwa. Jestto, zdaniem autora, stan słabości, w rozpaczliwem znaczeniu wyrazu. Zwątpienie i pesymizm — oto dwie wskazówki choroby, w niesłychanym dotąd stopniu zakażającej formy kultury ludzkiej: zarówno literaturę jak i sztukę, ekonomię, filozofię, religię i rodzinę, układ społeczny i państwo. W żadnej z tych form zwątpienie i pesymizm od czasów najdawniejszych nigdy jeszcze nie przybrały tak olbrzymich rozmiarów, jak w chwili obecnej. Ruchy np. polityczne i socyalne świata starożytnego, w porównaniu ze współczesnością, wyglądają jak burze w szklance wody. Na zażegnanie dzisiejszych nie wystarczy już alegorya o rokoszu zębów i rąk przeciwko żołądkowi. Źródło choroby, trapiącej dziś ludzkość wykształconą, autor sprowadza do czynników najprostszych, ale tem samem najbardziej zasadowych. Ludzkość zarówno dojrzała, jak dojrzewająca w kulturze cierpi skutkiem rozstrojenia się w sobie samej, skutkiem fatalnego musu znoszenia i szanowania kłamstw wobec wypielęgnowanego w duszy ideału. Taka rola wykształconej jednostki i społeczeństwa, tamująca oddech i krążenie krwi, mogła być znośną dla Hamletowego króla, zdolnego do płakania jednem okiem, a śmiania się drugiem, ale dla duchów pełnoletnich, moralnie, politycznie i społecznie... nigdy! Odmalowanie takiej roli dzisiejszego świata kultury, stanowi część dzieła krytyczną. Przedmiotem organicznej jest przedstawienie owego ideału, któremu dana rzeczywistość, na każdym kroku, w każdej ze wspomnianych wyżej dziedzin kultury zadaje gwałt „konwencyonalnemi kłamstwami.“ Po ten ideał autor nie sięga po nad obłoki — znajduje on go na dnie istoty ludzkiej, jako płód donoszony, gotowy już do objawu, szczelnie i wszechstronnie wrośnięty w świadomość ogółu. Nordau nie żąda niczego więcej, jak ułożenia się form i stosunków społecznych pod powagą świętej, jedynie prawdziwej normy: pod powagą *przyrodoznawczego poglądu na świat*. Tylko bowiem taki pogląd jest prawdą, a chwila oświetlenia nim stosunków ludzkich będzie chwilą pojednania człowieka z sobą samym, zwątpienie i sceptycyzm ustąpią, ludzkość — dziś będąca pojęciem oderwanem — stanie się faktem.

Oto główne kontury tej świetlnej budowy; zwróćmy się do wybitniejszych jej części.

„Mene, tekel, upharsin.“ Takie wyroczne godło, jak na bramie Dantowego piekła, czytamy na pierwszej karcie książki, z niesłychaną odwagą zdzierającej maskę ze wszelkich sofizmatów społecznych bez względu na wysokość ich piedestału; ze wszelkich teoryj i powag, już to bezmyślnie, już to rozmyślnie, już to z głupotą, już to z hypokryzyą zatruwających atmosferę wieku światła i prawdy. Od czasów Hegla, żaden z myślicieli szczęśliwiej nie zastosował słów Biblii, malując świętą konieczność powstawania nowych żywiołów *na zwalisku* starych. Ale Hegel zastosował je do samych tylko pojęć filozoficznych, do krainy myślenia — nasz autor na wszystkich ścianach budowy widzi rękę kreślącą wyrazy, głoszące koniec panowaniu fałszu. „Nigdy jeszcze — mówi on — ludzkość, szukająca, jak Faust, poznania i szczęścia, nigdy jeszcze nie była tak, jak dziś daleką od tego, ażeby, odezwać się do chwili obecnej: „o! zatrzymaj się przecież, jesteś tak piękną.“ Przebiegnijmy od kraju do kraju i rzućmy zapytanie: „czy mieszka tu zadowolenie? czy macie tu spokój i szczęście?“ Wszędzie odpowiedzą nam: „ruszaj dalej; tu niema tego, o co pytasz.“ Autor przebiega kraje i kraiki, państwa i państewka— wszędzie taż sama odpowiedź: „ruszaj dalej.“ Tam, na powierzchni grunt zda się mocny i spójny, budowa silna. Ale przyłóż

*) (*Die conventionellen Lügen der Kulturmenscheit*) p. Maksa Nordau (wyd. 6-e). Lipsk, 1884.

---

i złożył swe ciało w takie same położenie, w jakiem już około minuty pozostawali, dech w sobie wstrzymując jego, towarzysze.

Walka wziął w rękę kredę, przystąpił do tablicy, rozmachnął się i zaczął pisać. Z początku kreślił pojedyncze litery, małe i wielkie, samogłoski i spółgłoski, bez żadnego zresztą związku i porządku. Ale wreszcie doszedł do słów i całych zdań, jak naprzykład: „Bóg stworzył świat,“ „człowiek ma dwie ręce,“ „ziemia matka nasza. Wyczerpawszy w ten sposób swoją mądrość, wykazawszy dostatecznie umiejętność pięknego pisania w licznych zakrętach i długich ogonkach, położył kredę, odstąpił krok w tył, spojrzał z upodobaniem na zapisaną tablicę, a następnie obróciwszy się do zamierającej ze strachu klasy, krzyknął groźnie:

— Pisać!

Jego praca naukowa w tej chwili została szczęśliwie ukończona, teraz zaczynała się „nadzorcza.“ Żeby to jak najdobitniej pokazać uczniom, strzepnął silnie palcami uczony pył kredowy, a natomiast wziął do rąk swą trzcinkę i jak jastrząb śledzący z góry za zdobyczą, rozejrzał się po klasie, zeszedł z podwyższonego „gradusa“ i rozpoczął swój obchód.

Pierwszym, na którego spadł, był maleńki, słabo zbudowany i nadzwyczajnie przestraszony chłopczyna. Cały spocony, pochylony nad zeszytem męczył się z całej siły, by utrzymać pióro w drżącej ręce i co chwila spoglądał na tablicę, usiłując wyciągać na papierze takie same haczyki, kruczki i „kiełbasy,“ jakimi upstrzyła deskę wprawna ekonomska ręka. Niestety, ręka malca trzęsła się, kruczki, haczyki i kiełbasy wychodziły łamane, nierówne, nawet pióro nieposłuszne co chwila przekręcało się czegoś i pragnęło jak najprędzej z nich się wydobyć.

Walka stanął nad nim jak kat i uśmiechając się złośliwie, nic mówiąc ani słowa, przyglądał się jego pracy.

Biedny malec, czując niechybną biedę, do reszty stracił wszelką władzę nad swoją ręką i nad nieposłusznem piórem.

— To ty tak piszesz? — przecedził nauczyciel zwolna przez zęby, lecz tem raźniej gwizdnęła w powietrzu jego trzcinka i nakształt żmii okręciła plecy biednego ucznia.

— Oj-oj-oj! — jęknął, lecz zamilkł natychmiast, spotkawszy się z groźnym, wężowym wzrokiem szkolnego pogromcy.

— Czy ty lepiej pisać nie umiesz? — pytał Walka.

— Umiem, umiem... — wyjąkał malec, sam nie wiedząc, co mówi.

Walka może wierzył temu zapewnieniu, że chłopiec umie pisać lepiej, a tylko jemu na przekór lub z wielkiej tęsknoty za jego trzcinką bazgrze brzydko.

— No, uważajże mi! — i mistrz poszedł dalej, nie zważając, jakie też to zbawienne płody przyniosła jego nauka. Zresztą, cóż go obchodziły jakiekolwiek płody? On teraz był karbowym!

Oczy jego już zwróciły się w inną stronę i w innym kącie klasy upatrzyły nową ofiarę. Siedział tam żydek, który wedle starożytnego zwyczaju swego plemienia pisał w tył, usilując nakreślić Walkowe wzory od strony prawej ku lewej, od końca wiersza ku początkowi. Jedną linię już zapełnił w taki sposób i właśnie rozpoczął drugą od słów: „stworzył Bóg a z k ser.“ Napisany wiersz wyglądał nie źle, ale nowy, dopiero rozpoczęty od końca ukłuł w oczy pana Walkę.

— A ty co robisz, Mojsze? — krzyknął, przybiegając do chłopca.

Pan Walka wszystkich izraelitów w klasie nazywał „Mojsze,“ z wyjątkiem synów bogatych miejskich „głowaczy,“ przed którymi miał wielki respekt. Żydek Jonas Turteltaub, usłyszawszy ten krzyk i zobaczywszy przyskakującego nieprzyjaciela, pochylił się, skurczył jak ślimak w swej skorupce, i przestał pisać.

— Cha, cha, cha! — grzmiał pan Walka, przyglądając się pismu.

— Herr Professer...—wybełkotał żydek i urwał, nie mogąc wykrztusić słowa.

— Chodź tutaj!

I nie czekając, dopóki Jonas wyjdzie z ławki, wziął go za ucho i powlókł na środek.

ucho do ziemi — poczujesz jej drganie konwulsyjne, dosłyszysz głuche uderzenia podziemnych olbrzymów, bijących młotem w sklepienia więzień; przyjrzyj się z bliska murom: pod pokostem i złoceniami dostrzeżesz niebezpieczne rysy od dołu do góry (*Anglia*). Tu Irredenta sili się na błyśnięcie nowymi ideałami w oczach młodzieży, której zjednoczenie Włoch odjęło krynicę tradycyjnych uniesień tęsknoty politycznej. Tam czwarty stan usiłuje wysadzić w powietrze wszechwładną burżoazyę z jej synekurami. Tam masz Camorrę (Neapol) zdradzającą tajemne cierpienia ludu w znakach złowieszczych — tam naftę i poprawioną jej edycyę: dynamit (fenianizm). Tam, na pokrytych ryżem równinach Lombardyi i bagnistych pustkach Romagnii widzisz trawionych głodem i gorączką najemników, gwarzących z sobą o tytule prawnym, dziedzica dóbr, któremu codziennie sprzedają szpik swoich kości za 50 centezimów. Owdzie znów masz fanatyzm religijny, albo komunistyczne pierwo-chrześciaństwo (Toskania) — a wszędzie składanie miliardów na ołtarz militaryzmu z taką wiarą w leczącą jego siłę, z jaką w wiekach średnich bogacze, w nadziei wyleczenia się z niebezpiecznej choroby, majątki swoje ofiarowali kościołowi.

Wszystko to jednak stanowi jedną tylko formę choroby wieku, powszechnej we wszystkich krajach, chociaż wszędzie przybiera ona pewną nazwę miejscową: Camorry, fenianizmu, socyalizmu, antisemityzmu itp. Drugą, nieskończenie cięższą formą tej choroby jest głębokie rozstrojenie ducha, rozszczep w moralnem jestestwie ludzkiem, które, niezależnie od granic politycznych, od hołdowania temu lub owemu stronnictwu, czuje w duszy swej każdy człowiek stojący na wysokości współczesnej kultury, a które stanowią ton główny naszej epoki, jak naiwne weselenie się bytem swoim stanowiło ton główny starożytności klasycznej, a pobożność —pierwszych wieków średnich. Każdy czuje pewien rodzaj gniewliwego niezadowolenia, które, jeśli sam nie wniknie analitycznie do samego gruntu, gotów przypisywać tysiącznym bliższym, ale nigdy prawdziwym przyczynom, a które zniewala go do pojmowania wszelkich zjawisk życia społecznego z cierpką krytyką, do ganienia ich zawzięcie, jeśli nawet nie do potępienia ich stanowczo. Tę niecierpliwość, na którą wszelkie wrażenia zewnętrzne oddziaływają drażniąco i zatruwająco, jedni nazywają nerwistością, drudzy pesymizmem, inni znów sceptycyzmem, ale pod rozmaitością nazw ukrywa się jedna tylko i taż sama dolegliwość. Wykazuje się ona we wszystkich objawach ducha ludzkiego. Wszędzie wstręt do atmosfery istniejącej, wszędzie żądza wyrwania się z objęć chwili obecnej, ucieczka od siebie i z siebie.

Na fantazyę, jako na najwrażliwszy nerw istoty ludzkiej, najpierwej uderzają wszelkie chorobliwe zaburzenia. Dlatego też, jeszcze w końcu zeszłego stulecia, objawiły się one w poezyi. W chwili, kiedy życie wyższych warstw społecznych stanowiło niejako jednę wielką orgię, J. J. Rousseau wydał gorący okrzyk tęsknoty za naturą. Rousseauizm jest ojcem romantyki niemieckiej—wprawdzie romantyka ta nie wraca do stanu natury, lecz zatrzymuje się w połowie drogi: na średniowieczności. Ale i ona i romantyka francuska i byronizm, i Musset i Leopardi — wszystko to są objawy, sprowadzić się dające do ogólnego hasła: „precz z daną rzeczywistością.“ Ten sam czynnik ukrywa się i pod utworami literatury pięknej dwu ostatnich dziesięcioleci. W Anglii belletrystyka od dawna już przestała być odzwierciadleniem rzeczywistości. Literatura francuska hołduje wprawdzie zasadzie artystycznej, dla której wymyśliła sobie nazwę naturalizmu. Ale czyliż naturalizm dowodzi zadowolenia się stanem istniejącym? Czyliż, malując zgniłość, cierpienia człowieka chorego śmiertelnie i konanie społeczeństwa, nie zdaje się, w końcu każdej powieści szemrać złowieszczo: „widzisz więc, znękany czytelniku, z tego com tu przedstawił, że żyć nie warto?“ W sztukach plastycznych zupełnie taż sama postać rzeczy. W utworach starożytności święciło godło: „żyjemy w świecie najpiękniejszym, jaki tylko być może“ — w plastyce nowoczesnej „świat nasz nie może już być szkaradniejszym, niż jest.“ W filozofii modnym prądem jest pesymizm. Bogiem jest tu Schopenhauer, a Hartman jego prorokiem. Ekonomia pokazuje podobny stan chorobny, w innej, ale niemniej poważnej formie: przed oczami bogacza czerwony upiór, na języku biedaka oskoma a w duszy podszepty najgorszych instynktów.

Oto obraz współczesności — walka wszystkich ze wszystkimi! Ale to już nie walka grzecznych przeciwników, co witają się się i pozdrawiają nawzajem przed wydobyciem miecza, jak niegdyś francuzi z anglikami przed bitwą pod Fontenoy — to wściekły bój upojonych winem i krwią podrzynaczy gardła, którzy ze zwierzęcą zaciekłością rzucając się, ani dają, ani oczekują pardonu... Literatura i sztuka, filozofia i ekonomia, zgoła wszelkie zjawiska bytu społecznego i indywidualnego zdradzają jeden ogólny i powszechny rys: gorzkie niezadowolenie ze świata rzeczywistego. Ze wszystkich tych objawów ducha ludzkiego słyszeć się daje jeden bolesny okrzyk: „precz, precz z otaczającej atmosfery.“ A echo na ten rozpaczliwy okrzyk odpowiada przerażającą statystyką samobójstw i potwornym wzrostem zużywania alkoholu, opium, morfiny i eteru.

WACŁAW SZYMANOWSKI

(jako poeta i dramaturg).

I.

Wyobraźcie sobie wielką salę, obwieszoną dziełami starych mistrzów, rojącą się tłumem wielu „znanych i cenionych.“ Gdzie tylko spojrzysz, oblicza nastrojone poważnie, kędy się zwrócisz, rozmowa mniej lub więcej uroczysta. Nagle wszyscy się uciszyli. Przy stoliku siadł niewielki człowiek o twarzy okrągłej, krótko strzyżonych, kędzierzawych, siwiejących włosach. Zaczyna mówić i oczy jego migotają iskrą humoru, usta składają się charakterystycznie do uśmiechu. Głos chwilami brzmi gardłowym dźwiękiem, ale płynie swobodnie. Opowiada on zamaszystą anegdotę kontuszową swojego utworu i pyszny ustęp z Molière'a o fantazyach i kaprysach płci nadobnej. Sam siebie słucha bardzo pilnie, rozkoszuje się rytmem miarowym wiersza, płynie za jego potoczystym biegiem, podkreśla chwilami zręczniejsze rymy. Odganiesz łatwo. że to „wirtuoz sztuki wierszowania.“

Takim jest p. Szymanowski we wszystkich swych swych płodach poetycznych.

Na widok biednego Jonasa, skulonego, drżącego i zaślinionego ze strachu, cała klasa buchnęła głośnym śmiechem, chociaż każdy sam drżał i kurczył się. Lecz taka już siła tej groźnej pedagogii, że dosyć jej mistrzowi uśmiechnąć się, a wszyscy pozostający pod jego władzą zaczną śmiać się z całego gardła, bez względu na to, że urągają własnej niedoli.

— Chodź do tablicy! Pisz!

Pan Walka zmazał własnoręcznie część swego pisma i wcisnął żydkowi kredę do ręki. Chłopiec zaczął pisać jak umiał, to jest w tył. Na nowo parsknęła śmiechem cała klasa a wraz z nią pan Walka, lecz twarz jego natychmiast się zachmurzyła, skinął ku ostatniej ławce, w której siedzieli najstarsi wiekiem i najtężsi chłopcy, i krzyknął:

— Ano, dajcie też mu!

Żydek drgnął i coś wybełkotał, lecz prędko przyskoczyli do niego dwaj towarzysze-siepacze i poprowadzili na „gradus.“ Wszyscy ucichli nagle. Zamiast śmiechu bladość pokryła wszystkie twarze — tylko bolesny wrzask Jonasa, sieczonego rózgami, rozlegał się pośród murowanych ścian bazyliańskiego klasztoru.

— Dosyć z niego! — rzekł Walka, a chłopiec, łkając, poszedł na swoje miejsce.

Spełniwszy ten wysoce pedagogiczny czyn, nauczyciel zaczął znowu swój pochód po klasie, i znowu rozległy się uderzenia jego trzcinki po plecach i po rękach biednych malców.

Jakie wrażenie wywarła cała ta nauka na małym Mironie — opisać trudno. Drżał bez ustanku, jak w febrze; w uszach mu szumiało, w oczach ćmiły się mroczne plamki. Jedna tylko myśl nie porzucała go, że ta burza i jego nie minie. Zdawało mu się, że każde uderzenie strasznego nauczyciela było dla niego przeznaczone, a tylko przez pomyłkę dostało się innemu. Napisane już w kajecie słowa i wiersze skakały przed jego wzrokiem, nadymały i pląłały się, nabierając jeszcze brzydszych kształtów, niż miały w rzeczywistości. Sam nie wiedział, kiedy zaprzestał pisania — szara pomroka osłaniała jego oczy.

— To ty tak piszesz?—huknął pan Walka tuż nad jego głową.

Miron zerwał się, chwycił za pióro, umoczył je w atramencie i powlókł rozpaczliwie po papierze.

— Czy ty nie wiesz, jak masz pióro trzymać?

— N-nie wiem! — wyszeptał Miron.

— Co? — wrzasnął pan Walka. Czy ja tobie nie pokazywał już dziesięć razy, nie raz?

Miron zdziwiony wypatrzył się na rozognioną twarz pana Walki. Ale zamiast odpowiedzi mistrz ściśniętym kułakiem uderzył go w twarz. Mały chłopczyna, jak kosą podcięty, powalił się na ławkę a z ławki na podłogę. Krew oblała jego twarz.

— Podejmcie go! — krzyknął Walka.

Z ostatniej ławki przyskoczyli dwaj — ci sami, którzy przed chwilą siekli Jonasa, i podjęli zemdlałe dziecko, któremu głowa zwisła w dół, jak u umarłego.

— Biegnij po wodę! — komenderował dalej Walka i jeszcze raz spojrzał na Mirona.

— Co to za chłopiec? — zapytał.

— Miron — odrzekł "cenzor," t. j. najstarszy wiekiem i najsilniejszy uczeń, którego ojcowie ustanowili niby nadzorcą w klasie.

— Czyj? — pytał dalej Walka.

— Jakiegoś chłopa syn, z N...

— Chłopski syn! Tfu. Po jakiego dyabła te chłopy pchają się tutaj!

Lżej zrobiło się mistrzowi na sercu. Już zaczął był po trosze lękać się odpowiedzialności, ale chłopski syn, tego przecież można bić, można pastwić się nad nim jak chcesz, za chłopskim synem nikt się nie upomni!...

Pan Walka nie omylił się w swej rachubie. Nikt nie upomniał się za chłopskim synem. Nieludzki czyn nauczyciela-karbowego minął dlań gładko, tak jak i wiele innych jego nieludzkich czynów. Tylko w sercu chłopskiego syna wypadek ten nie przepadł, ale stał się pierwszem nasieniem oburzenia, wzgardy i wiecznej nienawiści przeciwko wszelkiej przemocy, przeciwko wszelkiej niewoli i tyranii.

Myron.

zawartych w świeżo wydanym pięciotomowym zbiorze *). Posiada on istotnie do pewnego stopnia nadzwyczajną łatwość robienia wierszy, której mu mogą zazdrościć znakomitsi poeci. Słowa pod jego piórem układają się okrągło, myśl zgrabnie przewija się wśród zręcznej plątaniny rymów, styl po większej części retoryczny, zwrotny, jasny, giętki, rzadko mieni się tęczową grą ozdób poezyi, ale biegnie za zwykłym prozaicznym spadkiem myśli. Ucho nasze przyjemnie kołysze ta muzyka słowa, ale nie szukajmy w niej silniejszych drgnień fantazyi i uczucia albo rysów indywidualności autora!

Cały tom pierwszy zapełnia pomniejsza dziatwa muzy: opowiadania, satyry, dyalogi, utwory dydaktyczne, ulotne fragmenty i rymy okolicznościowe. Począwszy od małych poematów o podniosłym nastroju, aż do fraszek lub wierszowanych morałów, znajdziesz tu całą różnorodną gammę tonów, której brak tylko egotyzmu. P. Szymanowski nie zajmował ludzi swojemi uczuciami, nie spowiadał się z własnych tajemnic.

W cyklu jego opowiadań, osnutych na tle zamierzchłej przeszłości, błyszczy przedewszystkiem „Timur Leng,“ kilkoma szerokimi zarysami odmalowany obraz despotyzmu wschodniego, z głęboko tkwiącą ironią na samoubóstwienie brutalnej siły człowieczej. Znać tu, że autor ze szczególnem zamiłowaniem dostraja się do oryentalnego tonu, łącząc szczęśliwie jaskrawość obrazowania ze skupioną powagą, która znowu staje się doskonałą pokrywką satyry w „Testamencie psa,“ zawierającym niemiłosierne szyderstwo z szafarzy sprawiedliwości. We wszystkich zresztą obrazkach starożytnych lub wschodnich, objętych w dziale: „Niegdyś,“ tkwi albo jakaś myśl, albo jej intencya, wyłaniająca się nie zawsze dość jasno z pod wzorzystej osłony obrazowania. Czasami nawet p. Sz. stara się wtłoczyć w ramy przedmiotu myśl obcą, która nie może z jego treścią licować, jak np. w „Koniu trojańskim,“ nacechowanym zresztą pyszną retoryką i przypominającym siłą obrazowości słynną opowieść Teramena z *Fredry* Racine'a, do którego patosu autor dodał trochę iście epicznego kolorytu. Dość dziwacznie jednak w końcu wiersza występuje koń trojański, jako symbol przewrotu grożący „praojców obyczajom starym“ i „arce staroświeckiej,“ a potem ostrzega ludzkość, aby słuchała ofiarników, co za wiarę giną... Ten pokłon tradycyi, który p. Sz. jest stałym rzecznikiem, niezbyt się tu kojarzy z rdzeniem treści i wygląda trochę na umyślne zboczenie, na urzędową daninę słowa, złożoną na konserwatywnym ołtarzu. Nie znaczy to jednak, abyśmy autora posądzali o nieszczerość, ale to pewna, że nietylko w tym razie zachowawczość poetyczna pływa u niego po nad treścią w postaci retorycznego frazesu.

Bardzo też szczęśliwie przyswoił on sobie zamaszystość i humor starej kontuszowej gawędy. Są to zwykle wierszem opowiedziane anegdoty, o treści czasem dość błahej, ale nie mają one pretensyi do uświęcania poetycznym chryzmatem dziejowej stęchlizny. Poeta występuje w nich zawsze jako pełen swobody *narrator*, który gwoli uciesze ludzkiej płodzi wiele trefne słówka, rad, że może mierziwe smętki a gorzkie „melankolie“ rozegnać. Jest tu, naturalnie, i czupurność i zawadyactwo szlacheckie, słychać czasem rozgardyasz pijanego gwaru i sejmikowej waśni, ale niema pobożnych westchnień na temat starych głupstw i starej obyczajowej tyranii, niema apoteozy hulaszczych orgij, ani pobożnych westchnień nad cywilizacyjną misyą monitora bockowskiego. Raz nawet zasłużył p. Szymanowski na zarzut mimowolnego pesymisty, gdy w obrazku dramatycznym „Siła złego na jednego“ przedstawił tchórzliwy rwetes kobiet, zaniepokojonych wieścią o napadzie tatarów i lamentujących nad swymi krewnymi, którzy ruszyli tępić szablice na karkach pohańców, tak że nawet sam „wojski,“ przerażony tym babim lamentem, woła: „pal je dyabli“ i rusza na wroga. Niedość, że obrońca płci słabej nieszczególnie tu spełnia swoje posłannictwo— gdyż stary obyczaj każe mu dotrwać na straży żon i dzieci walczących zakraj rycerzy — ale nasze wychwalane białogłowy, matki wojaków i bohaterów występują jako gromada krzykliwych i tchórzliwych nad miarę kumoszek, zupełnie niepodobnych do tych energicznych, dzielnych postaci, których wizerunek ukazuje nam autor *Niewiast kresowych*, tak zasłużenie wskrzeszonych dziś do życia... Dlatego też pomimo żwawej charakterystyki i komizmu, obrazek ten jest raczej wyjątkowym epizodem, aniżeli typowem malowidłem obyczajów danej epoki, podmalowanych barwnie lubo także częściowo w gawędach epicznych. We wszystkich zresztą tętni dziarski, lacki rytm słowa, daleko jędrniejszy i bardziej artystycznie wyrzeźbiony, aniżeli w gawędach Pola, we wszystkich skrzy się humor i fantazya, a słowo płynie gładką, lśniącą strugą, na której co chwila wyskakują bąble błyskotliwej retoryki.

Poezya szlachetczyzny stanowi zresztą jedną tylko z drobnych składowych cząstek pracy p. Szymanowskiego, który czasami zwraca się ku nędzom chwili i skarży głosem niedoli uciśnionych. Jak w gawędzie szlacheckiej szedł torem Pola, tak w cyklu objętym pod tytułem „Dziś“ dźwięczy tonem tak zwanej poezyi realnej, której twórcami są dzisiejsi poeci francuscy. Nie należy więc szukać tu dosadnej charakterystyki, albo dosadnego realizmu, ujętego w poetyczną formę, ale zamiast niego poeta puszcza wodze moralnej retoryce, stara się być pedagogiem, to jest wszczepić w ciężkie i duszne życie warstw niższych prawdę moralną i „myśl bożą.“ Ten ustrój religijny różni naszego poetę od retoryków realnych francuskich, tak samo potoczystych, ogładzonych, poprawnych. Promień wiary rozświeca tu pocieszająco ponurą ciemnię nędzy i niesie pokrzepienie w ciężkich chwilach niedoli, jako siła moralna, której działanie dla pewnych organizacyj psychicznych jest niewątpliwie uzdrawiające i ożywcze. Nie czuć tu bynajmniej robionego nastroju, nie czuć nawiązywania tematu do bogobojności, ani narzucania poezyi klerykalnych formuł. W obrazku „Na ulicy“ lokaj, który trochę z pijaństwa, trochę z nędzy chce się puścić na śliską drogę kradzieży, na głos dzwonka zwiastującego poranną jutrznię pada skruszony na kolana. Ten zwrot, co prawda, zbyt nagły, oparty na nadto wiotkim kontraście, nie jest tylko dostatecznie usprawiedliwionym i dlatego robi raczej wrażenie zewnętrznego efektu, aniżeli wewnętrznego przewrotu duszy. Daleko lepiej wypowiedział p. Szymanowski myśl religijną w „Wyprzedaży“ oraz w ładnym pomimo pewnej rozciągłości wierszu „Jedna z wielu,“ gdzie wbrew fałszywemu idealizowaniu kobiet upadłych, maluje w sposób dość przejmujący cierpienia i męki nieszczęsnej matki, którą nędza postawiła nad brzegiem upadku a zbawiło poczucie wstydu, skojarzone z pociechą religijną. Unikając zresztą brudu i stroniąc od jaskrawizny p. Szymanowski w innych fragmentach tego rodzaju („Chłopak z bruku,“ „Dwie nędze“) wypowiada i odczuwa dość szczerze niedolę ludu miejskiego, żali się jękiem opuszczonych sierot, czasami nawet zgrzytnie skargą dotkniętej godności człowieczej. Nie są to jednak drgnienia poezyi demokratycznej w całem znaczeniu tego wyrazu, sięgające do głębi najtajniejszych cierpień i boleści, które toczą życie proletaryatu. I ten żywioł nie jest górującym w utworach p. Szymanowskiego, ale występuje współrzędnie z naśladowniczem zresztą potrąceniem. Podobnie jak poeci realni francuscy p. Szymanowski nie zstępuje na dno życia ludu, nie sięga do jego palących zagadnień, ale wznosi się na retoryczną ambonę i mówi o nim bardzo ładnie, poprawnie, z wielkiem nawet współczuciem, jest obrońcą biedaków, których pragnie podnieść, zbudować pięknem moralnem słowem, jakkolwiek nie przemawia tak, aby to słowo trafiło do przekonania maluczkich. Nic w tem dziwnego, bo jeszcze nie urodziła się poezya, wcielająca w siebie palące zagadki chwili i tętniąca jej głębszem socyalnem wrzeniem, a wierszowane płody stylistów dzisiejszych są bardzo lekkim odwarem demokratycznym, przepuszczonym przez gęste mieszczańskie sitko.

(D. n.).

J. Kotarbiński.

*) *Poezye i dramata.* Warszawa. Gebethner i Wolff.

BADANIA DZIEJOWE.

Andriej Fricz Modrżewskij, polskij politiczeskij pisatiel epochi rieformacii. Konkursnoje soczinienje, udostojennoje zołotoj medali warszawskim impieratorskim uniwiersititetom. Napisał Edmund Dylewskij, studient III kursa juridiczeskawo fakulticta. Czast' I. Warszawa, 1883, 8-ka str. 158 i LXVI.

Modrzewski należy do świateł naszej przeszłości, któremi zwykliśmy się szczycić, jarzącym ich blaskiem jedne narody zaćmiewać, a o sławę równą innym się kusić. Szkoda, że śród nas samych znany jest mało, że pomimo licznych stosunkowo prac: Ossolińskiego, Małeckiego, Stefana Nowickiego, księdza Otto, Tarnowskiego i innych, niezbadany jeszcze został rzetelnie. P. Dylewski na obszerniejszą skalę przedsięwziął o Modrzewskim robotę: w rozprawce, ogłoszonej obecnie, mającej stanowić całej pracy część pierwszą, przedstawił życiorys; w drugiej obiecuje rozbiór kapitalnego dzieła *De republica emendanda*, przyrzeka oznaczyć stanowisko Frycza w nauce powszechnej i polskiej. Temat rozległy, a brak monograficznych opracowań różnostronnej działalności Modrzewskiego — krzyczący: wypada to mieć na względzie, żeby nie być zbyt surowym dla młodego autora, który się o rzecz wielką pokusił.

Rozpoczął p. Dylewski od przedstawienia stanu Europy i Polski pomiędzy rokiem 1503 i 1572. To, co na czterech kartkach (str. 17—25) o Europie i Polsce napisał, wszystkie podręczniki szkolne ograły dobrze: szkoda, że na podstawie dość obfitych opracowań epoki reformacyjnej szerzej rzeczy nie ujął i że nie przedstawił tych, wieku szesnastego politycznych, religijnych, społecznych i ekonomicznych zawikłań, śród których Modrzewski wyrósł i o ich rozplątanie się kusił. Nie rozumiemy zresztą, dlaczego z czasu pomiędzy r. 1503 a 1572 stwarza autor dobę odrębną: nie sądzimy, żeby urodziny i śmierć Modrzewskiego w życiu Europy i Polski stworzyły przełom.

Ustalenie daty urodzenia Modrzewskiego (1502—1505) pozostawia autor badaczom przyszłym, nie wie również, gdzie ujrzał światło. Dziad i ojciec—powiada (st. 27)—jako wójci, pod karą utraty posiadłości powinni mieszkać w Wolborzu, tam więc Jędrzej Frycz urodzić się musiał. Jestto przypuszczenie, nie pewnik i w tym przeto wypadku przyszły badacz ciemności musi rozpraszać. Niedość szczęśliwie także rozstrzyga p. Dylewski sprawę nazwiska i pochodzenia Modrzewskich. Ponieważ Modrzewski pisał się *Fricius* i zwykle nazywano go *Fryczem*, sądzi więc autor, że *Fricius*, *Frycz* jest pierwotnem nazwiskiem rodowem, nie

zaś imieniem. Dla udowodnienia tego powołuje się na Kromera, który wspomina o namiestniku króla Wacława, *Friczu* szlązaku i o innych Fryczach z piętnastego stulecia; cytuje listy studentów w Witemberdze, w której Modrzewski figuruje jako *Andreas Fricz*. Zdaje się, że wywód zasadny niejest. Fryczów (*Friczco sive Fridericus*) znaleść może autor w dyplomataryuszach w wieku 12, 13, 14 i dalszych moc wielką; było to przecież imię, do którego dla bliższego określenia osobistości dodawano miejscowość, jak np. z r. 1366 *Friczco de Nova domo* (*Monum. medii aevi*, VII 45), *Friczco* albo *Frixcho de Bytom*, *de Grimmis* (*ib.* VII, 119, 146) itp. Namiestnika z czasów Wacława przywodzą kronikarze także tylko z imienia, podobnie jak jego kolegów: Ulryka z Boskowic i Taszę z Wisenburga, nie było bowiem ustalonych nazwisk w tym wieku. Gdyby Frycz było nazwiskiem rodowem, nie pisałby się Modrzewski w metryce studentów akademii krakowskiej *Andreas Jacobi de Wolborz*; nie pisanoby go przy promocyi na bakalarza *Andreas de Wolborz* (32, 34), nie nazywałby sam reformator brata swego Janem Krzysztofem Modrzewskim (125). Wobec powyższego, nikły jest wywód rodu Modrzewskiego ze Szląska, od jakiegoś Frycza, który się miał przesiedlić do Polski, nabyć majętność i zyskać szlachectwo (28). Nazwiska urabiały się u nas od miejscowości, o czem autor zdaje się wiedzieć; lecz czy wioska Modrzewie istniała— jak twierdzi — pod samym Wolborzem? Spisy z szesnastego wieku podają dwie wioski tego nazwiska w Wielkopolsce: jedną w powiecie kcyńskim, w parafii Kozielsko, drugą, należącą w r. 1552 do Łagiewnickiego, w pow. brzezińskim, w parafii Szczawino (Pawiński *Polska VI wieku*, I, 182. II, 98); w parafii wolborskiej Modrzewia nie ma.

Argumentacya autora w sprawie szlachectwa Modrzewskiego nie wyjaśnia rzeczy zupełnie. W polemicznym zapale zarzucał Modrzewskiemu Orzechowski pochodzenie gminne, co pierwszy w dziełach swych zbijał, twierdząc, że od szlachetnych pochodzi przodków. Ku obronie reformatora p. Dylewski powołuje się na niewątpliwy patrycyat syna jego; że zaś ostatniego w podanym przez Czackiego spisie indygienów nie znalazł, dochodzi przeto do wniosku, że szlachcicem był z ojca. Nieznalezienie czegoś nie może w nauce stanowić dowodu: niepotrzebnie nawet autor szukał indygienatu młodego Modrzewskiego, skoro takowego jako krajowiec otrzymać nie mógł. Indygienat otrzymywali cudzoziemcy, krajowcy zaś uszlachcani byli przez nobilitacyę, która się od tamtego różniła. Wprawdzie Czacki wylicza i nobilitowanych do r. 1604, lecz możeż być spis jego kompletny, skoro pierwotnie każdy klejnotny osobnik, gdy plebejusza do swego herbu przygarnął, bez podawania do metryk bratem swoim w obywatelstwie go czynił (Lelewel *Polska*, III; 446). Sądzimy, że bardziej, niż szlachectwo syna, o pochodzeniu starego Modrzewskiego świadczyć może wzgląd inny: znany jest z r. 1424 *strenuus et nobilis Nicolaus de Modrzewye* (*Monum. medii aevi*, VII, 536); Bartosz Paprocki, który nowe rody zwykł był pomijać, w *Herbach* z r. 1584 (wyd. Tur. 270, 941) zna Modrzewskich klejnotu Koźlarogi. Że Orzechowski zarzucał Modrzewskiemu pochodzenie gminne, da się to usprawiedliwić: Frycz piastował urząd plebejski, urząd, który go czynił zależnym od osoby prywatnej. Takich szlachcicow ważono lekko: nie przeszkadzało to jednak, że — na Mazowszu szczególniej — drobiazg klejnotny, nie mogący wyżyć ze szczupłych fortun, do wójtówstw i sołtystw bez utraty przywilejów się garnął.

Po opuszczeniu Krakowa, gdzie studya uniwersyteckie odbywał, na lat dziesięć (1522—1532) Modrzewski znika nam z oczu. Pod koniec r. 1532 udaje się na uniwersytet witemberski, po latach czterech wraca na krótko do kraju, zostaje sekretarzem młodego Zygmunta Augusta, znowuż za granicę wyjeżdża i do r. 1540 to w Witemberdze, to w Norymberdze oddaje się naukom. Nieodżałowaną jest luka lat dziesięciu z doby krystalizowania się pojęć człowieka; szkoda również, że autor nie scharakteryzował otoczenia, śród którego Modrzewski za granicą przebywał i pod którego wpływem się kształcił. Wersya p. Dylewskiego, że po powrocie do kraju Modrzewski stale przebywał na dworze Zygmunta Augusta (str. 51) znowu budzi wątpliwość. Wiadomo, że do r. 1548 Zygmunt August, jako wielkorządca Litwy, przebywał w Wilnie: w początkach r. 1545 czas krótki dla spraw sejmowych i interesów familijnych bawił w Krakowie, skąd rychło powrócił na pogrzeb żony, poczem uprawiał romans z Barbarą (Baliński *Pisma historyczne*, I, 29). W jaki więc sposób *stale* (*bezotłucznо*) przebywający przy młodym królu Modrzewski mógł jednocześnie (w r. 1546) brać udział w zebraniach u Trzecieskiego w Krakowie (52)? Czy autor sprawdzał wiadomość Gołębiowskiego (*Czasy Zygm. Augusta*, I, 187) o pobycie Modrzewskiego u Krotowskiego, właśnie po powrocie z obczyzny? „Około r. 1553 umiera — powiada p. Dylewski (94) — ojciec Modrzewskiego i Frycz musiał (*dolżen był*) powrócić do Wolborza.“ Dlaczego musiał? Jeżelić był ulubieńcem Zygmunta Augusta i z pożytkiem dla kraju różne z rozkazu jego pełnił posługi, czemuż nagle zagrzebuje się w nędznej mieścinie? Jeżeli tak świetnie publiczne odbywał funkcye, pomimo śmierci ojca mógł je przecież pełnić i dalej, a wójtowstwo puścić w dzierżawę, zastawić, sprzedać nawet w części lub całkiem. Że fabuła o pobycie Modrzewskiego na dworze Zygmunta Augusta i o nagłym do Wolborza powrocie jest pełną zagadek, winien tu autor, bo nawet źródeł dostępnych nie wyzyskał rzetelnie. Ubolewa np. (str. 96 w przyp.), że nie znalazł w archiwum warszawskiem śladów wypłacanej Modrzewskiemu z rozkazu Zygmunta Augusta pensyi—a nie postarał się o przejrzenie rękopisów biblioteki Ossolińskich, w której bardzo ważne znalazłby szczegóły. Jest tam wydany przez Zygmunta Augusta, datowany 30 kwietnia 1552 r. w Piotrkowie przywilej p. t. *Donatio salarii annui 100 flor. ex salinis Vieliciensibus Andreae Fricz de Modrzew, secretario regio*; jest z r. 1555 *Auctio salarii annuis allis 100 florenis ex zuppis Vieliciensibus Andreae Fricii, praeposito Brzezinensi, secretario regio*; jest z r. 1565 *Confirmatio donationis pensionis annuae 200 flor. nobili* (rozstrzyga to kwestyę szlachectwa) *Andreae Fricz de Modrzew, secretario regio, concessae* (Kętrzyński *Katalog rękopisów*, I, 389, 392, 398). Z przywiedzionych dokumentów przekonać się można, że Modrzewski i w dobie wójtowstwa w Wolborzu i proboszczowstwa w Brzezinach pobierał od króla pensyę, jako sekretarz, że więc położenie jego materyalne nie było znowu tak ciężkie, jak to w pismach swoich przedstawiał.

P. Dylewski niezbyt krytycznie zestawia fakty, pochopny jest do budowania wątłych hypotez i nie zadaje sobie dość trudu dla zbadania tych nawet szczegółów, których zgłębienie nie nastręcza nadzwyczajnych trudności. Z powodu antikatolickich poglądów, z rozkazu biskupa kujawskiego musiał Modrzewski Wolborz opuścić i po pańskich dworach się tułać. Jeden z traktatów teologicznych datuje z miejscowości *Fabrilium* (czy to nie Kowale, lub Kowalewo?), przebywa u Tarnowskiego we wsi—według autora—Wiewiórkach, a później w Osieku. W szesnastym wieku nie masz Wiewiórek, podają za to spisy Wiewiórczyn i Wiewiórczyno w pow. kcyńskim (Pawiński *l. c.* I, 185); Osiek w rzeczypospolitej, w Wielkopolsce nawet niejeden był i Ostrołęka (*Acutum pratum*) niejedna. W sprawie ostatecznego usunięcia Modrzewskiego z Wolborza zaznaczyć należy wpływ Kromera, którego biskup Karnkowski zapytywał listownie o radę (Walewski *Marcin Kromer*, str. 56); dla wyjaśnienia losów znakomitego człowieka nie godziło się lekceważyć i przywiedzionej przez Maciejowskiego (*Piśmiennictwo*, I, 49) notatki o stosunkach Frycza z Danielem Schilingiem, którego łaskawym przyjacielem nazywał i książkę mu swoją z odpowiednim napisem darował.

W studyum o pisarzu z epoki odległej dokładne podanie bibliografii jest rzeczą konieczną. P. Dylewski i pod tym względem zadania nie spełnił. Zna to tylko, czego mu dostarczyć mogły trzy biblioteki warszawskie; o wielu pismach wie z drugiej ręki, co oczywiście dodatnio na pracę jego wpłynąć nie mogło. Pierwszą Modrzewskiego rozprawę *Lascius sive de poena homicidii* zna w wydaniu z r. 1543, a milczy o podanej przez Estreichera (*Bibl.* VIII, 31) z r. 1541; nie wspomina o wydaniach broszur niektórych z lat: 1547, 50, 54. Zresztą, oryentowanie się w podanych przez autora wskazówkach bibliograficznych, rozrzuconych w tekście i licznych dopiskach, niemało przedstawia trudności.

Autor starannie podaje treść pism Modrzewskiego, nie rozumiemy jednak, dlaczego chce w nim widzieć katolika, dlaczego przeciwko zarzutom herezyi go broni. Głoszono o Fryczu na sejmie „ysz nie wierzil, jako jego kosczioł rzymski uczy“ (115), potępiał go papież, prześladowali legaci, uczony Hozyasz, Karnkowski i inni — pomimo tego p. Dylewski jest zdania, że „nie mamy prawa rzucać na Modrzewskiego anatemy i uważać go za heretyka“ (str. 120). Pomimo częstych samego Modrzewskiego zapewnień, że z kościołem nie zrywa—nikt z katolików temu nie wierzył i słusznie. Byłże katolikiem ten, który w każdej pracy swojej powtarzał: *nolo, ut quisquam me sibi addicat*, który—jak zauważył sam autor — chciał pośredniczyć pomiędzy sektami, lecz nie należał do żadnej. Tego rodzaju indyferentyzm, który zdaniem naszem największy Modrzewskiemu przynosi zaszczyt—ze stanowiska katolickiego większą stanowi herezyę, niż kwestyonowanie jakiego szczególnego dogmatu.

Pomimo wskazanych niedokładności i braków, pracy p. Dylewskiego nie możemy odmówić zalet. Zapoznał się dobrze z literaturą przedmiotu, pilnie dostępne dzieła Modrzewskiego odczytał, wydobył z nich szczegóły, rzucające światło na życie i działalność reformatora, rzecz zaś samą wyłożył systematycznie i jasno. Dla gruntownego zbadania takiego, a tak zaniedbanego przez nas pisarza, jak Frycz Modrzewski, dużo trzeba zachodu i czasu; sądzimy też, że p. Dylewski nie poprzestanie na ogłoszonej obecnie rozprawce, lecz dalej przedmiot będzie uprawiać i rezultat badań ogłosi po polsku. W czasach gorączkowego wydobywania i ogłaszania materyałów historycznych i z Modrzewskiego przecież tajemnica zdartą być musi.

Wł. Smoleński.

LITERATURA UKRAIŃSKA.

II.

Powieści: Burłaczka, Dwi Moskowky i Mykoła Dżeria.

Obaj powieściopisarze, o których mam teraz mówić — p. Lewicki i p. Myrnyj — zdolnościami swoimi zajęli pierwszorzędne stanowisko w literaturze ukraińskiej. Nie są to już nowicyusze, łamiący się z formą i językiem, ale autorowie, którzy wyrobili sobie ustaloną i najlepszą opinię (szczególnie odnosi się to do Lewickiego), ludzie znający do gruntu społeczność całą i naród.

Powieści: p. Lewickiego *Burłaczka*, *Dwi moskowky* i *Mykoła Dżeria* ujawniają jeden

tylko kierunek talentu, nie będziemy więc mogli dać zupełnej jego charakterystyki. Przedstawia on w nich tylko życie ludu wiejskiego podczas pańszczyzny lub wkrótce po usamowolnieniu; z nich więc nie można będzie powziąść miary ani głębokości umysłu, ani widnokręgu jego pojęć i zasad, które z większą plastyką występują w dawniejszych jego powieściach na tle stosunków społecznych: *Fryczepa*, *Chmary* i *Zaporożeć* *). Nadmienić jeszcze wypada, że powieści *Dwi moskowky* i *Mykoła Dżeria* są teraz wydane po raz drugi.

Co zaś do p. Myrnoho, romans jego *Powija*, chociaż w *Radzie* drukowaną jest tylko część pierwsza, stanowi tak skończoną w sobie całość, że pominąć tego utworu nie można przez wzgląd na jego artystyczną wartość.

Zanim więc będziemy mogli coś powiedzieć o tych powieściach, zapoznajmy czytelnika z ich treścią.

Bohaterką *Burłaczki* jest Wasyłyna, dziewczyna z małej wioszczyny, zwienigrodzkiego powiatu, Komarówki. Wioska ta w sadach cała i ogrodach, w głębokości jam schowana, naraz ożywiła się: rodzice Wasyłyny i ona sama posłyszeli w dzień nieświąteczny muzykę na wsi. Rzecz niesłychana w cichym zakątku! Nikt zgadnąć nie może, co za powód do takiej wesołości. Wkrótce tajemnica się wyjaśnia: posesor z niedalekiej wioski p. Jastrzębski wysłał z muzyką żyda arendarza Lejbę, ażeby mu zwabił robotnika na plantacyę buraków do Żurawki. Pojechała z innymi i Wasyłyna. W Żurawce po skończonej robocie wieczorem znowu tańczono — spóźniła się Wasyłyna do domu i zanocowała w karczmie. Tu poznała się z parobkiem Wasylem i pokochała go. Co dwa tygodnie posesor wypłacał robotnikom, więc do Żurawki poszła i Wasyłyna. Tu wpadła w oku Jastrzębskiemu, a usłużny Lejba namówił ją „stanąć na służbę“ u panicza. Syn zbankrutowanych rodziców, nie słynął z wielkiej moralności i miał u siebie mały haremik, w którym z całą swobodą gospodarowało kilka odalisek. W ten świat zazdrości wpadła i Wasyłyna. Opór jej i walki skończyły się zwycięstwem sułtana. Dziewczyna pokochała go całą czystą i niewinną duszą. Wasyl stał się teraz dla niej jakby upiorem, prześladującym ją i pomimo wielkiej miłości, jaką miał dla niej, zemścił się na ukochanej, która go przemieniła na panicza, z tą dzikością, z jaką tylko narodowy obyczaj strzedz umie cnoty: parobcy ucięli jej kosę. Musiała więc zostać *pokrytką*, t. j. spotkała ją hańba największa dla dziewczyny. Dnie szczęścia Wasyłyny nie długo trwały. Ciotki p. Jastrzębskiego chciały ożenić kuzynka bogato, aby mu przyszłość zabezpieczyć. Wasyłyna, która szczerze pokochała i przywiązała się do panicza, długo walczyła ze sobą—ale do domu wracać nie śmiała, bojąc się znieważyć starość rodziców. Poczciwy Lejba i tu jej dopomógł — wysłał ją do fabryki sukna w Steblowie. Tu wpadła w hulaszcze towarzystwo burłaków i burłaczek i utonęła w tym wirze wesołym, który ją porwał: chciała w tańcu i kieliszku utopić swoją boleść. Poznał ją wreszcie stolarz Michalczewski, szlachcic, stoczył bój krwawy o nią z burłaką Myną i piękną mołodycę pokochał czystą miłością. Uczucie to odrodziło Wasyłynę i po jakimś czasie wyszła zamąż za Michalczewskiego, a po kilku latach, kiedy rany dawne zabliźniły się, z mężem i dwojgiem dzieci wróciła do Komarówki.

Druga powieść p. Lewickiego, znacznie mniejsza objętością, nosi tytuł: *Dwi moskowki*. Rozgrywa się ona w wiosce Momoty, gdzie mieszkała wdowa Chomycha, do której syn, będący w wojsku, powrócił na urlop. W tejże wsi było dwie przyjaciółki: Hanna i Maryna, dwa kontrasty: pierwsza zamyślona, nieśmiała, zamknięta trochę w sobie, druga żywa, wesoła, hulaszcza aż do zapomnienia się. Syn Chomychy Wasyl pokochał ubogą Hannę, sierotę i ożenił się z nią. Maryna kochała także Wasyla, ale duma nie pozwoliła jej nigdy przyznać się do tego, z tajoną zazdrością spoglądała na szczęście Hanny, a kiedy spostrzegła, że złamane nadzieje nie wrócą nigdy, postanowiła wyjść za mąż za pierwszego, który się trafi. I wyszła — także za moskala, którego nie kochała wcale. Tymczasem obaj i Wasyl i mąż Maryny powołani zostali do wojska. Maryna hulała dalej, a Hanna tęskniła, modliła się i płakała, wychowując syna Iwasia. Ale synem nie cieszyła się długo: wzięto go do szkoły kantonistów, skąd po długich latach wyszedł skrzywionym człowiekiem i nieponiem. Wrócił niby do matki do Momotów, ale nie długo popasał: pochylona chata matczyna była mu za ciasną, a ta sfera, w której żyła staruszka, już za niską. Porzucił matkę na łzy, na pracę i upokorzenie. Jedyną pomocą jej była Maryna, która oczy przyjaciółki przedwcześnie zamknięte, ziemią posypała. Została sama. Przyszła. starość, brwi czarne spłowiały i nie nęciły już nikogo. Jakaś moskiewka, która przybyła w odwiedziny do Momotów do krewnych, namówiła Marynę porzucić wieś i szukać weselszego świata w Kijowie. Poszła Maryna „na służbę,“ ale służba nie zawsze się znalazła, a jeść potrzeba było codzień. Ulica więc i gorzałka stały się jej jedyną pociechą. Po wesolo spędzonej jednej nocy, upadła na podłogę w karczmie; wywleczono ją na ulicę, ażeby nie było kłopotu, gdy umrze i na pałącem słońcu, śród snów czy marzeń przedśmiertnych, które jej wywoływały przed oczy niezniszczone rojenia i nadzieje, zakończyła ciężkie swoje życie...

W powieści *Mykoła Dżeria* rzecz dzieje się za czasów pańszczyzny i rozpoczyna się w Wasylkowszczyźnie, w dolinie rzeczki Rostawicy, we wsi Werbiwka. Mykoła Dżeria, syn zamożnych rodziców, ożenił się z ubogą dziewczyną „najmyczką“ gospodarza z sąsiedztwa — Kawuna. Dziewczynie tej pop, mszcząc się na ojcu za jakieś nieposłuszeństwo, dał niezrozumiane i nieznane nikomu imię Minodora—a wszyscy nazywali ją Nimidorą. Była to cicha, pracowita dziewczyna, która pokochała Mykołę. Na drugi dzień po ślubie kazano Mykole iść na pańszczyznę żyto młócić, a Nimidorze konopie czesać. Niewesołe myśli cisnęły się mu do głowy, kiedy musiał pracować dla kogoś, a własne gospodarstwo zaniedbywać. W lecie kazano iść żąć żyto—a swoje z kłosa spadało. Mykoła namówił gospodarzy do wyżęcia pierwej swego żyta, a potem zabrać się do „pańskiego.“ Nieposłuszeństwo to pan dziedzic Brzozowski ukarał surowo. Zapadła zemsta w młodą duszę Mykoły, a było czem co dnia ją żywić, bo codzień potrzeba było pilnować pańskiej roboty a swoją odkładać. Począł namawiać ludzi ze wsi i sąsiadów uciec od „złego pana“ a doli i woli poszukać w stepach. Naznaczyli tedy dzień do ucieczki. Trzeba było obwieścić tę wiadomość Nimidorze. „Nebijsia Nimidoro j neżuryś. Pan choczc nas oddaty w moskali, jak win nam obhołyt' łoby, to my todi propaszczi na wiki; a tym czasom my wteczemo na szcharni, perebudemo cej ważkij czas, taj znow powertajemoś.“ Nie pomogły łzy i perswazye matki i żony—ojciec stary niedawno umarł—wieczorem zebrali się spiskowi i wyszli z wioski... Ale pożar toku pańskiego oświecał im drogę.

Mykoła z towarzyszami poszedł w Kaniowszczyznę, do Steblowa; do żyda Brodowskiego zapisał się na robotę do fabryki cukru. Ciężkie tu było życie na żydowskim chlebie. W dodatku p. Brzozowski dowiedział się, gdzie przytulili się zbiegli i robił starania, ażeby ich znowu do pańszczyzny przymusić. Nie było więc innej rady dla burłaków, jak uciekać dalej — dalej w stepy, nad morze... Poszli tedy na Besarabię i niedaleko Akermanu, za Limanem Dniestrowym przyjęli służbę, zostali „rybałkami. Atamanem „watahi“ był Iwan Kowbanenko. Miał on córkę Mokrynę, szczupłą, wysoką jak topola i piękną. Przystojny Mykoła wpadł jej w oko. Kiedy raz miała być obława na włóczęgów przez miejscowego stanowego, Mokryna schowała Mykołę w oczeretach, dokąd oprócz niej nikt dostać się nie mógł. Mykoła ciągle myślał o Nimidorze, o matce, o dziecku, a śród tych smutnych marzeń uśmiechała się do niego uśmiechem miłości Mokryna. Walka nie była długą. Dziewczyna zabrała mu serce.

Nimidora długie lata tęskniła, płakała po mężu i oczekiwała go i oczekując umarła zostawiwszy córkę Lubkę, która na rok przed śmiercią matki zamąż wyszła.

Tymczasem p. Brzozowski odszukał burłaków na Limanie i miał ich do domu zabrać, kiedy nastąpiło usamowolnienie. Wrócił do Werbiwki i Mykoła Dżeria, ale matki i Nimidory już nie zastał, a Lubka, którą dzieckiem przy piersi porzucił, nie poznała ojca... Łzami i modlitwą po Nimidorze okupywał Mykoła swoje winy. Doszedłszy starości został pasiecznikiem przy własnej pasiece, przygrywał sobie na kobzie, śpiewał lub z dziećmi rozmawiał...

F. Rawita.

*) Ostatnie dwie wyszły w Kijowie 1874 r.: *Powisti I. Lewićkoho*, a pierwsze we Lwowie.

Z GALICYI.

Lwów, 20 kwietnia.

Bajka o niedźwiedziu, szlachcicu i musze. — Opowieść o *Czasie*, rządzie i Kole polskiem. — *Bitte* Wiednia i „całujemy rączki“ galicyjskiego sejmu. — Stary *Czas* i *Nowy czas*. — Insynuacye. — Święta. — P. Zacharyewicz. — Kronika p. Lama. — Wspomnienie o ks. Podolskim. — Gdyby nie to *Ognisko domowe!*...

Był sobie niedźwiedź, który chcąc zgonić muchę ze łba szlachcica, trzepnął przyjaciela swego tak potężnie, że zabił, co prawda, muchę, ale i szlachcica o śmierć przyprawił. Nie było w tem złej woli — była to tylko... niedźwiedzia przysługa. Jakkolwiek historya ta działa się jeszcze przed Adamem i Ewą, świat śmieje się po dziś dzień z niegrabnego misia, jak śmiać się będzie długo z nieszykowności *Czasu*, który w obronie rządów hr. Taaffego nawymyślał gabinetowi obecnemu tak obrzydliwie, że chyba tylko wzgląd na wiernopoddańcze sojusznictwo powstrzymał krakowską prokuratoryę od najsurowszego wykonania przepisów procedury karnej w sprawach prasowych. No, *Reformę* nietylkoby skonfiskowano, ale i przed kratki pociągnięto! Proszę-bo posłuchać, co organ stańczyków wytyka rządowi. „Brak zręczności — powiada — brak baczności, zaniedbanie, opóźnienie, lekceważenie. Był nieraz przytem widoczny brak przezorności, nieco lekkomyślności...“ Więcej nic, ale i to podobno wystarczy, aby przyjść do przekonania, że albo świat się już kończy, albo wojna będzie, albo też, co najprawdopodobniejsze, redakcya *Czasu* nie uszczknęła jeszcze owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego i w błogiej naiwności nie zasłania wstydliwych części swojego rozumu...

Wynik najlepszych usiłowań krakowskiego organu był, jak widzieliśmy, fatalny, dobre chęci jednak nie dadzą się zaprzeczyć, jak również „nie można zaprzeczyć — ale to już *Czas* twierdzi — że kraj jest zadowolony z istniejącego porządku rzeczy, zadowolony tak dalece, że nie domaga się zmiany, a nawet, gdy rząd nieśmiało zmianę proponuje, kraj przez usta sejmu oświadcza, że zmiany nie chce, że dzisiejszy ustrój autonomiczny wystarcza.“

Dziwny to przecie naród, ci galicyanie! powiecie bez wątpienia, słowa powyższe przeczytawszy. Skarżą się, narzekają, jęczą, jakby ich gniotło muzułmańskie jarzmo, gdy tymczasem legalna ich reprezentacya oświadcza uroczyście, że niczego „niechce,“ bo to. co jest najzupełniej „wystarcza.“ Wstrzymajcie się jednak z wyrokiem potępienia! Wiedzcie bowiem, że „poważny i pobożny“ dziennik podwawelski nietylko bredzi często, ale też i kłamie czasami. Niech mu tam tego Pan Jezus nie pamięta! Obowiązkiem atoli zwykłych śmiertelników jest wyłapywać rybitwy. mącące wodę. A *Czas* — o naiwność nie wypada go tak posądzać nieustannie—rozmyślnie zmącił czystą i jasną uchwałę sejmu, niewiem już, dla jakiego powodu. Rzecz się tak miała: rząd przedstawił sejmowi projekt zmiany ustroju autonomicznego, ale w kierunku ograniczenia autonomii na rzecz rządu, bez odpowiedzialności tegoż przed sejmem. Pokłócono się nawet o to; jedna część posłów przemawiała w myśl rządu — druga stawiła wniosek rozszerzenia autonomii. Ostatecznie wybrano drogę pośrednią, tj. podziękowano pięknie Wiedniowi za łaskawe wtrącanie się do spraw krajowych i proszono, aby rzeczy pozostały tak, jak były dotychczas. Nazywa się to po galicyjsku: *naj bude, jak buwało.* Hasło to nie było w tym wypadku wyrazem zadowolenia z istniejącego stanu, ale obawy przed zmianą na gorsze. Cóż to jednak szkodzi *Czasowi* wypaczyć myśl uchwały zasadniczą i podsunąć jej motyw zgoła inny? Tylko tak dalej po tej samej drodze, stary *Czasie*, a moralną wartością swoją nie wiele się będziesz różnił od *Nowego czasu* w Cieszynie. stojącego na żołdzie Chlumeckich i Schmerlingów!..

Za ostro się może wyraziłem, ale niechżeż i *Czas* z większą broni godnością polityki Koła polskiego. niech przeciwników nie łaje od Hersztratów i zdrajców niemal, niech wreszcie w polemice najostrzejszym wojuje sarkazmem, byle opartym na prawdzie. *A la guerre, comme à la guerre* — rozumiemy to dobrze, ale i najzaciętsza walka może i powinna być rycerską. Więc nie wpychajcie opozycyi Brennusowego hasła *Vae victis* w usta, nie podejrzywajcie krytyki naszej o tak poziome pobudki, jak zemsta, ambicya i krzykactwo, bo to i wam nie przystoi i doprawdy dowojować się czego łatwo wywoływaniem tych trzech cnót ewangelii warcholskiej... Aby uniknąć nieporozumienia, winienem dodać, że warchołów szukać należy nietylko — jak utrzymują stańczycy — w obozie postępowców i liberałów. Z niemniejszą pewnością znajdziesz ich również w falandze przeciwnej, niby to tak szczelnie zwartej, silnej i poważnej.. Tromtadraci bowiem i warchołowie nie stanowią odrębnych stronnictw, ale temperamentem i charakterem wyodrębniają się w stronnictwach, do których należą. Każda zaś partya ma swoich warchołów i tromtadratów. Może to poświadczyć zarówno hr. Krukowiecki z jednej, jak, dajmy na to, prof. Zatorski z drugiej strony...

Ferye świąteczne mijają a o sprawozdaniach poselskich ani słychu. Prawdopodobnie nie przyjdą już one do skutku wpierw, aż będą nowy wybory. Usłyszymy tylko prof. Zacharyewicza, którego następca, albo też on sam powtórnie ma być niebawem wybrany. A dowiemy się — wątpić nie można—ciekawych rzeczy. Szanowny nasz reprezentant rozpowie nam, jakiemi to drogami chadzać się winno około krajowych interesów a po jakich się chodzi rzeczywiście i na jakich się je zaprzepaszcza manowcach. *Czas* już z góry drży na myśl, że tajemnica zostanie wyjawioną, ale naród twardo stoi przy żądaniu, aby deputat naszego grodu zdał sprawę z czynności swojej, a i z tego, co widział i słyszał w stolicy rakuskiej.

Minęły więc święta bez ferworu, bez tej gorączki, którą wywołuje życie polityczne, redukujące się u nas, jak wiadomo, do wyborów i sprawozdań poselskich. I smutno by było i tak jakoś czczo — mimo sutem święconem zastawionych stołów — gdyby p. Lam nie postarał się o to, aby i bez wina weselił się naród, pożywając jego „Kronikę lwowską“ w *Dzienniku polskim*, zakrapianą przeglądem „Z kraju i ze świata,“ angielskim eliksirem, przez c. k. polski alombik przepuszczanym w *Gazecie lwowskiej.* Jeżeli wspominam o rozweselającej doniosłości kronik p. Lama, czynię to nie dla *wyjątkowego* humoru, z jakim przetrawestował program jednego z najmłodszych pism postępowych w Warszawie. Bo rozumiem powody, dla których może się ktoś nie zgadzać, albo też zgadzając się, nie być mimo to zadowolonym z orędzia najnowszej redakcyi, ale nie pojmuję, dlaczego pisarz, uważany dotychczas za postępowego, żąda od organu specyalnego, aby był religijnym? Słyszałem, że ks. Podolski domagał się raz publicznie, aby współpracownicy *Dziennika polskiego* pościli w każdy poniedziałek na intencyę odpuszczenia grzechów naczelnego redaktora *Nowej Pressy*, co miało pewne uzasadnienie, ale skąd *Świt* przychodzi do spełniania zadań *Przeglądu katolickiego* — tego ani pojmuję, ani rozumiem, ani kiedykolwiek zrozumieć potrafię.

Smutne to, ale paradne były argumenty, jakimi się posługiwał p. Lam w dowodzeniu, że *Świt* należy spalić, gdziekolwiekby się znalazł przy ognisku domowem, a wprowadzić zamiast niego *Ognisko domowe* księgarza tutejszego, p. Łukaszewicza. Adres: ul. Halicka, l. 42... Toż wesoło mi było! Bawiłem się przez święta niezwykle i zyskałem pięćdziesiąt nowych przyjaciółek... dla *Świtu.*

Rewera.

NIEBO I ZIEMIA.

Widziałem niebo w noc miesięczną bladą...
Wkoło mnie było mglistych świateł drżenie,
Nademną dziwnie senne szły promienie
I drogi mleczne z białych gwiazd kaskadą,
I taka cisza była tam w lazurze,
I taki spokój tam panował błogi,
Jak gdyby spały tych błękitów bogi
I duchy wszystkie i anioły stróże...
Na ziemi wtedy nad kołyską dziecka
W zapadłej chacie — drżała łza matczyna:
Matka odegnać chciała śmierć od syna,
Oszukać matkę miała śmierć zdradziecka.
I kładła ręce zimne i kamienne
Na ocząt dwoje i na piers maleństwa,
I z ust kobiety wzbił się krzyk przekleństwa
Nad drogi mleczne i nad gwiazdy senne.

* * *

Widziałem potem niebo czasu słońca...
Jaśniało szczęściem w blasków majestacie,
Płynęły w górze srebrnych chmur postacie
I mknęły w przestrzeń, w błękit szły bez [końca.
Nad słońc królestwem, nad rozpromienionem
Potężny czuwał duch miłości boga
I każda chmurka była panu droga
I dumnym on był swoich gwiazd milionem.
Na ziemi wtedy na czerwonem polu
Toczyły walkę krwawe bratnie dłonie...
I wrzała zemsta w bojowników łonie
I żądni byli każdej krwi i bólu.
I każdy chwilę zgonu i nicestwa
Przekleństwem witał i mogilne cienie...
Konając, każdy błędne słał spojrzenie
Do krain światła i do słońc królestwa.

Maryan Bohusz.

LIBERUM VETO.

Mój wpływ na stosunki międzynarodowe. — Dywidenda od akcyj spiskowych.—Bukiet dla p. Pindtera.— Odczyty publiczne i ich korzyść.—Wskrzeszony Brandes. — Nauka moralna. — Odczyt p. Littena.

Bądź co bądź, jest to rozkosz pomyśleć, że ja, skromny człowiek — zarówno jak każdy z was czytelnicy — mogę wpływać na stosunki wielkich mocarstw. Nawet we śnie nigdy sobie podobnej mocy nie przypisywałem, ale ostatecznie musi tak być, jeśli dobrze poinformowany organ ks. Bismarka tak utrzymuje. Jak wam już telegramy doniosły, *Nordd. Allg. Zeitung* twierdzi, że polacy nadwyrężali długo przyjaźń Rosyi z Niemcami. a gdy ich podstępną grę odkryto i „różnice wyrównano,“ usiłują teraz powaśnić Niemcy z Austryą. Wprawdzie tego wielkiego dzieła dokonywamy gromadą, tj. siłą wszystkich pism polskich, lecz przecie i *Prawda* stanowi pewien jej ułamek, zatem i na nią przypada jakaś część władzy, jakaś dywidenda od akcyj spisku. Ażeby wszakże duma moja była zupełną, brak mi jednej rzeczy: świadomości, jak ja tę potęgę wykonywam? Przypuszczam, że inni publicyści nasi zadają sobie toż samo pytanie, gdyż wiadomo, że żadne z trzech wspomnianych mocarstw drogowskazami prasy polskiej się nie kieruje. Ale chociaż ta nieświadomość osłabia naszą dumę, głęboka przyjemność ogarnia całą moją istotę. Czuję, że jestem czemś mocnem, że oddziaływam na stosunki międzynarodowe w pewnej cząstce, a gdy mnie napadnie wątpliwość, biorę *Nordd. Allg. Zeitung*, czytam i widzę czarno na białem, że ja się nie mylę. O losie, jakże ty czasem jesteś łaskawy! Pyłom i prochom uświadamiasz, że one stają się przyczynami wielkich zdarzeń! Na ten raz dobroczynnym losem był dla nas Pindter. Kiedy wypadają urodziny tego zacnego męża, od prasy polskiej bowiem należy mu się bukiet.

. . . .

Przez cztery dni znakomity i oryginalny— przynajmniej w naszem piśmiennictwie — krytyk, p. W. Spasowicz zajmował uwagę licznych słuchaczów wykładem o Byronie. Jakkolwiek wszelkie odczyty prac, które nie wymagają ilustracyi doświadczeniami i objaśnień ustnych a równie łatwo mogą być rozumiane w druku, są ekonomicznem marnotrawstwem na korzyść leniwych, u nas posiadają one wielką doniosłość społeczną i umysłową. Pierwszą każdy widzi, drugą również łatwo uwydatnić. Dzięki prelekcyom publicznym ludzie *słuchają* tego, czego *czytać nie chcą*, chociażbyś im nawet książkę w rękę włożył i tanio sprzedał. Odczytów p. Spasowicza słuchało — przypuśćmy — 800 osób, które za cztery bilety zapłaciły rs. 2. Wystawmy sobie, że autor nie wygłosił, ale wydrukował swoją pracę o Byronie i naznaczył za nią rs. 1. Ilu kupi książkę, chociaż ona będzie o połowę tańszą i pozostanie własnością nabywcy? Dwustu, trzystu amatorów znajdzie, więcej—nic. Tylko nie sądźcie, ażebym tu przedstawiał wyłącznie logikę publiczności. Tak samo postępuje prasa. O prelekcyi wszystkie pisma zamieszczą obszerne sprawozdania, o książce tejże treści i tegoż autora czasem wcale nie wspomną. W bezpłatnym dodatku do *Prawdy* drukujemy od dwu lat znakomite dzieło Brandesa, którego czwarty tom, dołączany obecnie, zajmuje się Byronem. O ile mi wiadomo, nikt nie zanotował tego nawet w bibliografii. Naraz, dzięki wykładom p. Spasowicza, który z pracy duńskiego uczonego wiele korzystał, wszystkie pisma opowiadają, co Brandes mówi o Byronie. Gdybyśmy posiadali, prócz rozesłanych abonentom, pięćset egzemplarzy na składzie, sprzedalibyśmy wszystkie, Ale któż mógł przewidzieć, że p. Spasowicz za

przedmiot do swych odczytów wybierze Byrona i będzie wspominał o Brandesie. My przewidywaliśmy tylko, że po za kołem naszych prenumeratorów niewielu na książkę zwróci uwagę, że więc nie warto drukować podwyższonego nakładu. Z tej i jej podobnych niespodzianek wypływa taki sens moralny: jeżeli bracie chcesz przedrzeć się się do publiczności z komedyą, wystaw ją na scenie, jeżeli z powieścią — ułoż z niej żywe obrazy, jeżeli z dziełem naukowem — jakimkolwiek sposobem wprowadź je na katedrę.

Nie ręczyłbym, czy po odczycie p. Littena w Harmonii: o obrazie Rafaela „Szkoła ateńska“ z objaśnieniem główniejszych systematów filozoficznych Grecyi — nie wyczerpią się w księgarniach zapasy dzieł Platona, Arystotelesa i innych myślicieli starożytnych. Sądzę nawet, że szan. prelegent musi być przyjacielem lipskiego wydawcy klasyków Tauchnitza, skoro zaryzykował się w ciągu jednej godziny ocenić znakomity fresk Rafaela i wyłożyć całą filozofię grecką. Pewnie Zeller zadrżał! Rzecz dziwna, jak ten nasz grunt sprzyja dyletantyzmowi. W Berlinie. ba, w Lautenthalu p. Litten nie odważyłby się na coś podobnego, w Warszawie jest śmiałym. Gdybym miał w domu telefon i mógł połączyć się z Harmonią, kto wie, czy oparłbym się chęci wysłuchania odczytu p. Littena. Nawet u nas takie przyjemności są rzadkie.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Teorya nobilicentryczna i jej zastosowanie. — Wojaże chłopskie do Ameryki. — Pośrednicy przy bankach. — Owocy uczciwej pracy i owoce zdrowego organizmu.— Wypadki, w których interwencya organów bezpieczeństwa publicznego nie jest pożądaną.

Dotychczas jeszcze pojęcia nasze społeczne nie wyszły po za obręb tego okresu, który najwłaściwiej by nazwać było *nobilicentryzmem*. Według tej samorodnej teoryi szlachta jest jądrem narodu, istotą jego, jakby wyraził się metafizyk, a inne klasy, zwłaszcza zaś lud tylko podstawą, na której wznosić się powinna wspaniała piramida społeczna. U nas jeżeli i robi się coś dla ludu, to nie wprost dla własnej jego korzyści, ale przez lud na chwałę i pożytek szlachecki. Literatura ludowa kręcić się musi w zaczarowanem kole: nawoływań do miłości i posłuszeństwa względem starszych, rad co do zniesienia szachownic i serwitutów i pustych ogólników o poszanowaniu cudzych pól i lasów. Biada jej, jeżeli zapragnie wyjść po za te granice. Propaganda zdawkowej moralności, trzeźwości i innych cnót — pożyteczną jest sama przez się, ale i dla obywatela lepszym jest trzeźwy i uczciwy robotnik. Z pozoru zdawaćby się nieraz mogło, że prasa nasza i inteligencya przejęte są najlepszemi chęciami dla ludu, ale pierwsza próba doświadczenia rozwiewa te iluzye. Kto nie wierzy — niech posłucha.

Nowa pożyczka Towarzystwa kredytowego, przynosząca wielkiej własności 38 milionów na dogodnych warunkach, przyjęta została (i słusznie) jako rzecz zwyczajna, i jeżeli odzywały się głosy jakie, to tylko dowodzące, że nie szkodziłoby wziąść więcej i jeżeli można — na lepszych jeszcze warunkach. Ale kiedy przed paru miesiącami rozeszła się wieść, że $3\frac{1}{2}$ miliona rubli przeznaczono na pożyczki dla chłopów, prasa do dziś dnia strawić nie może tego faktu. Na pierwszy ogień wysuwa się zwykle argument, że to jest fundusz szlachecki, więc na korzyść szlachecką użyty być powinien. Zapominają tylko zapaleni rycerze szlachetczyzny, że wszelkie fundusze i cała własność pańska powstały li tylko z wyzysku pracy włościańskiej i gdyby rzucić je na szalę sprawiedliwości, to ciężar ten nie przeważyłby wylanych łez i potu chłopskiego, jak wszystkie blaski i szychy tradycyj dziejowych nie oświecą, nie zasłonią wielkiej chłopskiej krzywdy. Ale co to obchodzi naszych nobilicentryków: 38 milionów dla szlachty — to mało, $3\frac{1}{2}$ miliona dla chłopów — za dużo. Dalej więc medytować, jakby z tego coś urwać, to na szkoły rzemieślnicze, to na inne nieokreślone cele. A najprzebieglejsi z jezuicką chytrością próbują dowieść, że wszystko na nic się nie przydało, bo banki nie zapobiegną wytwarzaniu się proletaryatu, jeżeli zaś wszystkim nie można dać ziemi, to po co dawać ją niektórym; najlepiej złożyć ręce i nic nie robić — co mówię, robota jest, ale inna, trzeba ratować „upadającą“ własność ziemską od groźnego widma parcelacyi. Ten święty cel usprawiedliwia środki takie nawet, jak kredyt w bankach niemieckich, jak fałszowanie danych statystycznych, jak wykrzywianie logiki i prawdy.

Chłop nie potrzebuje kredytu na kupno ziemi! Dlaczegóż więc emigruje do nieznanych mu krajów, na niepewną przyszłość? Emigruje bądź to na zawsze, bądź czasami dla zarobku, jak donosi *Wilenskij wiestnik*. Chłopi litewscy udają się na zarobek do Ameryki i po kilku latach wracają z zapracowanym groszem do kraju. Wygląda to na baśń z tysiąca i jednej nocy. Jedzie sobie chłopek do Ameryki, jak do sąsiedniej gubernii, jedzie przecie nie dla przyjemności, nie jako turysta, ale dlatego, że niema o co rąk zaczepić, że niema roboty na miejscu. Należałoby mu pomódz, ułatwić nabycie kawałka rodzinnej ziemi, dać możność do pracy na własnym zagonie.

Gdzie tam! Kiedy taki kanalia sprytny, że własnym rozumem odkrył sobie drogę do Ameryki, to niech się obywa bez kredytu.

Ale i tam, gdzie są banki, nie wszystko idzie, jak powinno. Bo chociaż manipulacya udzielania pożyczek jest bardzo prostą, w biednej głowie chłopa nie może się pomieścić, że on ma do czegoś pawo i że to prawo zamienić się może w czyn bez opłacania się surdutowym opiekunom. W Żytomierzu np. rolę pośredników wzięli na siebie pp. adwokaci jawni i pokątni i za wniesienie do banku podania zdzierają z chłopów pokaźne sumy. Nadużycia te zarząd banku mógłby, co prawda, łatwo usunąć, nie dopuszczając żadnych pośredników. Ale taki prosty środek najtrudniej trafia do przekonania ludzi zagrzęzłych w biurokratycznej rutynie.

Nieprzyjaciele włościańskich banków, oprócz teoretycznych dowodów na poparcie swych twierdzeń, znajdują jeszcze i praktyczny argument. Oto niedawno pewien włościanin z pod Piaseczna kupił sobie trzypiętrową kamienicę w Warszawie. Po co więc chłopom kredyt, kiedy wytrwała praca na kilkunasto-morgowym kawałku ziemi doprowadzić może do posiadania trzypiętrowych kamienic! Nie mam zamiaru grzebać się w przeszłości nowego kamienicznika, zatem powiedzieć nie mogę, jakiego rodzaju praca pozwoliła mu zebrać tak znaczne kapitały; zresztą wyjątek nie osłabia reguły, która głosi, że uczciwą pracą nie dochodzi się do takich rezultatów. Może więc zbieg szczęśliwych okoliczności pozwolił kolonistce z pod Piaseczna, jak owej przysłowiowej panience, i kapitał zebrać i niewinność zachować, ale czy innym pozwala na to? W Sochaczewskiem kupił również włościanin majątek ziemski i wyłożył na stół 36,000 rs., ale pieniądze te dostały mu się w spadku po matce, która była znahorką i cieszyła się klientelą nietylko między ludem, ale i między inteligencyą.

A teraz, łaskawy czytelniku, który posądzałeś mnie o szlachtożerczą skłonności, pocieszą się, bo pokażę ci przykład, jakim sobem odsunięty od działalności publicznej ziemianin działać może z pożytkiem dla kraju w szczupłym zakresie domowych stosunków. W Wieluńskiem zmarł przed paru tygodniami zamożny obywatel, który nieco oryginalnie, ale za to nader gorliwie pracował nad zbliżeniem się do ludu, bo pozostawił aż 38 naturalnych dzieci. Doprawdy, gdyby za 38 milionową pożyczkę udzieloną większej własności każdy z jej przedstawicieli zobowiązał się dostarczyć krajowi 38 obywateli i obywatelek, głosowałbym za podwojeniem kredytu. Ale żarty na stronę, bo ów pracowity szlachcic w gruncie rzeczy okazał się uczciwym człowiekiem i cały swój majątek, wynoszący około 300,000 rs. zapisał naturalnym dzieciom. Oprócz tego, ponieważ nie był pewnym, czy nie zostawił więcej jeszcze potomstwa, zarezerwował sumę 20,000 rs. dla tych, którzy dowiodą w przyszłości pokrewieństwa z nim. Kto wie tylko, czy to dobrowolne zadośćuczynienie nie będzie spóźnionem, bo oburzona *niemoralnością* testatora dalsza rodzina stara się o unieważnienie zapisu. Według naszej rodzimej etyki, ci, co wydrą sierotom mienie — pozostaną moralnymi. bo uczynią to dlatego jedynie, żeby nie sankcyonować rozpusty.

Wiadomo, że nawet najbiedniejszy żydek stara się mieć na szabas chociażby kawałek ryby. Starozakonni mieszkańcy Ostrowa z trudnością zadośćuczynić mogli tej potrzebie, bo musieli sprowadzać ryby z dalekich okolic. Nareszcie przyszła im do głowy szczęśliwa myśl: wykopali na środku miasta sadzawkę, nawpuszczali do niej szczupaków i karasi i co piątek rano w patryarchalny sposób łowią sobie rybki. Rozwój tej gałęzi gospodarstwa krajowego zasługiwałby na wszelkie pochwały, gdyby nie ta okoliczność, że sadzawka mieści się na rynku, nieoświetlonym w nocy wcale, więc też, chociaż niedawno istnieje, wpadło już do niej kilka nieobeznanych z miejscowością osób i skąpało się kilkoro dzieci. Ponieważ jednak w tych wypadkach nie było w pobliżu stróża porządku i bezpieczeństwa publicznego, wszyscy więc na szczęście ocaleni zostali.

Ostatni frazes potrzebuje wyjaśnienia; dostarczy go nam fakt, który się zdarzył niedawno w Ostrogu. Pewien mieszczanin z synem pojechał kopać glinę. Zaledwie przystąpili do roboty, ziemia usunęła się i przygniotła obu; wprzód jednak zdążyli zawołać o pomoc. Znajdujący się w pobliżu ludzie nadbiegli z łopatami i zaczęli odkopywać zasypanych, ale przeszkodził im w ten policyant, który również znalazł się na miejsce wypadku, twierdząc, że do przybycia właściwej władzy żadnych środków ratunku przedsięwziąć nie wolno. Właściwa władza nie prędko dowiedziała się o katastrofie, bo gorliwy formalista nie mógł jej dać znać o tem, gdyż pilnował „porządku.“ Kiedy wreszcie przybył urzędnik policyjny i rozkazał natychmiast odkopać nieszczęśliwych, znaleziono ich obu bez życia. Ten potworny objaw formalistyki poruszył nawet serca niezbyt czułych redaktorów *Kijewlanina.* Ale nie oburzaj się zbytecznie czytelniku, bo jeżeli nie zawsze można ratować człowieka od śmierci, to za to Bogu dzięki, według wyrażenia rosyjskiego satyryka „każdemu z nas jeszcze bez formalnego pozwolenia umierać wolno.“

Nil.

Sokołów. Włościanie wsi Szczeglacin, mający pretensye do łąk należących do dóbr Karczew, zaczęli samowolnie pasać na nich bydło. Sąd skazał ich na zapłacenie zrządzonych szkód i kosztów, przy egzekucyi jednak wyroku stawili komornikowi i władzy policyjnej czynny opór i nie dopuścili do zajęcia ruchomości. Wtedy wysłano wojsko. Włościanie próbowali znowu opierać się, ale musieli ustąpić przed siłą; ruchomości zostały zajęty i wystawione na przes-

daż. Dopiero gdy przyszło do licytacyi, oporni zapłacili wymaganą sumę 3,000 rs. „Cała ta sprawa załatwiła się *w sposób pożądany* i w Szczeglacinie przywrócony został należyty porządek, który niezawodnie będzie miał *wpływ umoralniający* na całą okolicę“ dodaje od siebie korespondent *Gazety Warszawskiej!?*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 30 kwietnia.

Koło polskie w parlamencie niemieckim święci pierwszy tryumf, którego doniosłości wszakże przeceniać nie należy. Poseł Czarliński postawił wniosek, żądający równouprawnienia języka polskiego z niemieckim w prowincyach wcielonych po 1772 r. do korony pruskiej. Żądanie jego poparli nietylko członkowie centrum, socyaliści i alzatczycy, ale również konserwatyści a nawet jeden z landratów. Przeciwko wnioskowi przemawiali liberalni i wolnomyślni, pomimo jednak opozycyi z ich strony, odesłano go do komisyi, złożonej z 14 członków, pomiędzy którymi znajduje się trzech polaków.

Największy szkopuł, przeszkadzający rządowi niemieckiemu zawrzeć ugodę z Kuryą, został usunięty. Papież przyjął rezygnacyę kardynała Ledóchowskiego z arcybiskupstwa a kapituła zrzekła się wyboru następcy, którego zamianuje Watykan w porozumieniu z rządem pruskim.

Teraz łatwiej zapewne przyjdzie do porozumienia z centrum w sprawie ustawy przeciw socyalistom. Zresztą ks. Bismark, chociaż srożył się, że żadnych ustępstw nie dopuści i raczej rozwiąże parlament—zgodzi się zapewne na kompromis. Centrum również nie będzie się upierać przy wszystkich poprawkach, bo wolnomyślni, jak się okazuje z toku obrad w komisyi, przejęli od ojców swych narodowo-liberalnych pierworodny grzech serwilizmu i obiecują rządowi życzliwe poparcie. Z ich pobudki nawet wniesiony ma być dodatek: ustawa przeciw niedozwolonemu posiadaniu i użytkowaniu z materyałów wybuchowych.

Wątpić jednak należy, czy te umizgi, poparte odkryciem zamiaru anarchistów wysadzenia prochem posągu Germanii w Niedorwaldzie, zdadzą się na co. Bismark i służalcze pokłony i denuncyacye przyjmuje z zadowoleniem, ale tymczasem gotuje się zadać parlamentaryzmowi nowy cios przez wskrzeszenie Rady stanu. Instytucya ta, zależna tylko od korony, przygotowująca projekty praw i usuwająca nawet cień odpowiedzialności ministrów, którzy schodzą do roli prostych wykonawców, istnieje *de jure* i do wskrzeszenia jej nie potrzeba wcale zgody parlamentu, ale tylko zwołania żyjących członków i zamianowania nowych.

Konferencya mocarstw w sprawie egipskiej została już ostatecznie postanowioną. Anglia pragnie ograniczyć jej obrady wyłącznie do spraw finansowych, w czem podobno popierają ją Niemcy, natomiast Francya życzy sobie również uregulowania stosunków politycznych, słusznie wykazując wzajemną zależność tych dwu kwestyj. Ferry, który postawił sobie za program podniesienie międzynarodowego znaczenia Francyi, chce zarazem poprawić błąd Freycineta, który przodownictwo w sprawach egipskich pozostawił Anglii.

Z Sudanu przychodzą coraz gorsze wieści. Mahdi postępuje naprzód i zagraża wtargnięciem do górnego Egiptu, a nawet dwukrotnie pobity Osman-Digma zebrał nową armię i posunął się ku Suakimowi. Wojska egipskie cofają się, ale o wyratowaniu pozostawionych załóg nie ma co myśleć. Pomoc, o której anglicy zresztą nie myślą, byłaby już spóźnioną.

W Anglii rozpoczęły się meetyngi w sprawie udzielania praw wyborczych kobietom. Na czele ruchu stoi panna Lidya Baker. Radykaliści i irlandczycy popierają wniosek; oświadczyło się również za nim i duchowieństwo, które spodziewa się, że przez kobiety wywierać będzie mogło silniejszy wpływ na wybory. Na początek ma być wniesiony projekt przyznania praw wyborczych właścicielkom i dzierżawczyniom większych domów i majątków.

Zjazd trzech cesarzów został już postanowiony, przedtem wszakże następca tronu austryackiego, który objeżdża teraz dwory drobnych władców bałkańskich, odwiedzi w Turynie króla włoskiego a w Rzymie — papieża. Ostatnia wizyta może zresztą nie przyjść do skutku, bo *Kuryer warszawski* radzi papieżowi nie przyjąć cesarzewicza.

W Rumelii Aleko-pasza zabrał się do stłumienia panbulgarskiego ruchu a stronnicy jego organizują zebrania, żądając od mocarstw pozostawienia go na tej godności. Rosya wszakże oświadczyła, że jej decyzya jest nieodwołalna.

W Hiszpanii odbyły się znowu liczne aresztowania. Zwykły to zapewne manewr polityczny przed wyborami do kortezów.

CUDZE GŁOSY.

Wieczna intryga. *Gazeta Polska* podaje ciekawe uwagi *St. Petersburskich* i *Moskiewskich Wiedomosti* w sprawie posiadłości rosyjskich w t. z. kraju zachodnim.

„Z powodu—pisze dziennik petersburski—umieszczonej w *Moskowskich Wied.* notatki „ziemianina rosyjskiego“ o stanie posiadłości ziemskiej i rolnictwa na Podolu—w artykule naczelnym tegoż pisma z najzupełniejszą słusznością powiedziano na zasadzie słów *Praw. Wiestnika*, że ziemianie rosyjscy opuszczają i oddają w inne ręce gospodarstwa rozpoczęte.“

„Polscy zaś obywatele — powiadają już same *Mosk. Wied.*—stanowiący większość ziemian na Podolu, zarówno jak wogóle w kraju zachodnim, mocno trzymają w ręku posiadłości swoje i radzi kupiują te stosunkowo nieliczne majątki, które po sprawie roku 1863-go nabyli tam ziemianie rosyjscy. Obywatele polscy nie myślą zgoła uciekać z tego kraju, lecz uciekają stamtąd ci nieliczni rosyjscy obywatele, co się tam zagospodarowali, ufni w wezwanie ze strony rządu i w politykę narodową, z jaką ich zapoznano. Kwestyi polskiej — tego raka złowrogiego, jak się wyraża obrazowo dziennik moskiewski — „toczącego ojczyznę naszą, zaszczepiającego jad we wszystkie jej funkcye i zagrażającego jej wielu zaburzeniami w przyszłości, niebyłoby dziś wcale, gdyby narodowej polityki naszej nie ograniczono do lichych półśrodków, lecz przeprowadzono ją poważnie i konsekwetnie.“

„Jednym z przedniejszych środków w danym przedmiocie“ tłomaczą *St. Peters. Wiedomosti* — „było zamierzone ułatwienie przejścia majątków polskich w posiadanie rosyan.“

„Gdyby“ — czynią uwagę *Mosk. Wiedomosti* — „tego, co było zamierzanem, dokonano w tych wymiarach i w tym systemie, jakie wskazywała polityka roztropna i wierna sobie, zgasłaby nadzieja wskrzeszenia dawnej Polski, której wrogie dla nas znaczenie polega na jej roszczeniach do nas o rosyjskie, niegdyś zabrane przez nią posiadłości. Zwrócona do swych granic, polska narodowość pozbyłaby się swego wrogiego dla nas charakteru, i kwestya polska zostałaby rozwiązaną bez wstrząśnień a pomyślnie tak dla Rosyi, jakoteż dla ludności polskiej. Wszelkie złośliwe wybiegi intrygi polskiej utraciłyby swój przedmiot, a tem samem wszelki grunt, gdyby większość szlachty - posiadaczy w głównych punktach kraju składała się z rosyan. Wymagało się nie ogólnego wykupienia wszystkich majątków obywatelskich od polaków — wymagało się tylko zrosyjszczenia posiadłości ziemskich w guberniach kresowych, a w ich liczbie i w podolskiej. W tym celu zamierzono otwarcie kredytu ziemskiego na wielką skalę dla ziemian rosyjskich, ale intryga potrafiła sparaliżować to przedsięwzięcie, i wyznaczone do tego kapitały wpłynęły nie na utrwalenie posiadłości rosyjskich w kraju zachodnim, lecz na zrujnowanie posiadłości rosyjskich w caluteńkiej pozostałej Rosyi.“

„Połowę tych kapitałów“ — powiadają *Mosk. Wied.* — zjadł Juchancew.“

Czyż i w tym wypadku winną jest nieszczęsna „polska intryga?“

WYKŁADY PUBLICZNE.

O Byronie.

(Wł. Spasowicz).

Dopiero w trzecim i czwartym odczycie p. Spasowicz rozwinął charakterystykę poety; w pierwszych zaś dwu mówił o tych jego poprzednikach, którzy torowali ścieżki romantyzmowi, albo odzywali się jękiem i krzykiem tak zwanego „bolu świata.“ Prelegentowi chodziło o wykazanie pierwszych źródlisk i dopływów tego poetycznego strumienia, który w Byronie stał się rwącą i potężną rzeką, kipiał burzliwą i namiętną negacyą wobec starego porządku rzeczy. Nic dziwnego, że tych źródeł nie wykrył prelegent w stokach i podgórzach angielskiego życia, ale sięgnął do wielkiej wyżyny dziejowej, z której bierze początek cały rozwój duchowy i polityczny naszej epoki, to jest do rewolucyi francuskiej a właściwie do jednego z jej duchowych poprzedników Jana Jakóba Rousseau, poczem kolistym biegiem krążył koło Chateaubrianda, Schillera i Goethego. W utworach tych trzech poetów ukazywał on trafnie przemiany tego typu gorączkowego chmurnego marzyciela, co wcielał wszystkie gwałtowne porywy wieku, wyrażał niepochwytne rzucanie się ku ideałom humanitarnym, a w poezyi Byrona spotężniał demoniczne, walcząc z klęskami wieku i z bezbrzeżną goryczą, potępiając nędzę ludzkiego rodu. Snując wątek krytycznej genezy, p. Spasowicz szedł za Tainem i Brandesem, którzy jak dwa wielkie drogowskazy stoją na gościńcu dzisiejszej krytyki literackiej, wywiódszy ją z błędnych manowców akademizmu i apriorycznej spekulacyi na twardy grunt naukowej metody. W duchu świetnej teoryi Taine'a śledził on za *typem*, stanowiącym rysy danej fazy dziejowej rozwoju; w duchu Brandesa dążył za *prądem* poetycznym, w którym ten typ zasadniczy zmieniał się, przekształcał pod działaniem wpływów chwili lub odrębności twórców.

Spasowicz, podobnie jak Brandes, nie zna ściśle odgraniczonych przedziałów pomiędzy literaturami różnych narodów, ale widzi przedewszystkiem łączące ich nici wspólnego cywilizacyjnego rozwoju, zna jeden szeroki horyzont „literatury świata,“ nad którym zapalają się w różnych stronach nowe poetyczne słońca. Mniej daleko uwzględniał wykazaną przez Taine'a zależność twórcy od moralnej atmosfery, od otoczenia, tak że niedość pełno wystąpił Byron jako poeta angielski, niedość plastycznie wyszły na jaw przyczyny, które wytworzyły jego waśń z narodem i opinią, waśń zakończoną zupełnym jego tryumfem, do czego, mówiąc nawiasem, dopomogła ta okoliczność, że poeta wieszczył z oddali, korzystając z bardzo ciekawej politycznej perspektywy.

Obejmując okiem całość studyum p. Spasowicza w obecnym jego kształcie, mogę ją słusznie porównać do gmachu z nadmiernie rozwiniętym frontem a niewykończonym jeszcze korpusem. W stosunku do głównego założenia można było treść złożoną w dwu pierwszych odczytach ująć daleko krócej. Zawarty w pierwszym wykładzie wizerunek charakteru i działalności Rousseau'a sam w sobie był ustępem najświetniejszym, obrazem tak pełnym, że przed oczyma słuchaczów stanęła zupełna, drgająca życiem postać twórcy *Emila*. Chociaż jednak Rousseau słusznie uznany został za protoplastę romantyzmu, charakterystyka jego pełna i wielostronna nie zostawała w ścisłym związku z Byronem, a tylko niektóre

rysy wystarczyłyby do zaznaczenia wspólności literackiego prądu. To samo można powiedzieć o innych epizodach, mieszczących rozbiór Renego i Wertera oraz innych członków tej samej romantycznej rodziny. Jednakże te epizody i zboczenia dozwoliły p. Spasowiczowi rozwinąć wielkie bogactwo sądów krytycznych oraz wykazać w całej świetności przedmiotową metodę badania, która polega na spokojnem a głębokiem objawianiu przyczynowego związku faktów. Tylko dzięki tej metodzie nauki przyrodnicze odniosły takie liczne tryumfy, a nauki dziejowo-społeczne zrobiły teraz śmiały krok postępowy, tylko dzięki niej krytyka estetyczna spojona z badaniami nad rozwojem cywilizacyi, powoli zbliża swój proces do umiejętnego badania, porzucając dawniejszy formalizm, szkolarstwo i snucie mdłych apriorycznych teoryj. Dzięki tej metodzie, p. Spasowicz umiał być tak wyższym nad wszelką doktrynę, że nawet nasi prawomyślni zachwycali się obroną wiary wobec racyonalizmu i wytknięciem jego jednostronności, pragnącej dopasować wszystkie objawy życia umysłowego do geometrycznie wyprowadzonych formuł, chociażby drogą krwawych i gwałtownych operacyj...

Co się tyczy głównego założenia odczytów zaznaczyć wypada w ich rozwinięciu zbytnią może przewagę strony biograficznej nad krytyczną. Widzieliśmy pełny, artystycznie wykończony wizerunek Byrona jako człowieka, cały rozwój tej poetycznej i tak jaskrawo oryginalnej osobistości, widzieliśmy nici łączące dzieje jego życia z rozwojem fantazyi, ale mógłby ich prelegent ukazać jeszcze więcej na podstawie bliższej analizy wielu utworów. Nie znaczy to jednak, aby ta strona odczytu była słabą, ale nadto może treściwą. Jako socyolog p. Spasowicz nie lubi estetycznego gadulstwa i załatwia się z krytyką dzieł śmiałymi rzutami. To, co mówił o dziełach Byrona, było śmiałe, trafne, często samodzielne, ale wystarczające dla tych, którzy je bliżej znali, zbyt szczupłe dla ogółu słuchaczy, którzy i tak wytężali uwagę, aby chwycić rojące się nadmiernie bogactwo treści. Nie każdemu istotnie łatwo było iść w ślad za usilną wewnętrzną robotą myśli, która co chwila wykazywała swą niepospolitą energię na rozwiązywaniu ważnych i zasadniczo stawianych zagadnień.

Nie wdając się w rozbiór szczegółów, podnoszę tylko razem z innymi trafny zarzut niesłusznego zdzierania aureoli z ostatnich chwil Byrona, które istotnie stawiają go w liczbie pięknych legendowych postaci naszego wieku. To pewna, że do dziś dnia każde szlachetne serce zabije goręcej słysząc o ofiarnym zgonie tego *lorda*, który życie i całe mienie swoje poświęcił na obronę sprawy uciśnionego greckiego *ludu*, który zawsze walcząc słowem z duchową i polityczną tyranią, nie był tylko czczym deklamatorem lub pozującym awanturnikiem, ale musiał zamienić w czyn te hasła, które w jego „Giaurze“ brzmią tak porywającą potęgą, że dziś nawet budzą w czytelnikach dreszcze zapału. Chociażby zbytni krytycyzm osłabiał ważność pobudek tego działania, to fakta wypisały imię Byrona w dziedzinie rycerzy swobody myśli i czynu, w zastępie bojowników, co herkulesowym wysiłkiem ścinali łby dziejowym hydrom.

J. K.

JESZCZE RAZ W SPRAWIE PISOWNI POLSKIEJ.

III.

Zdaje mi się, że dowody powyższe obalają zarzuty przeciwko pisowni *-ja*. Przechodzę teraz do uwydatnienia jej zalet.

Proponowaną przezemnie pisownię *-ja* popieram szeregiem następnych polecających ją argumentów: 1, zgodną jest ona z wymawianiem większości wykształconej; 2, używa znaku właśnie takiego, jakim w innych razach tożsamo brzmienie wyrażamy; 3, mniej się różni w gruncie rzeczy od pisowni Deputacji, niżeli inne sposoby; różni się zaś dla tego, że w ciągu przeszło pół wieku wymawianie się zmieniło; 4, upraszcza sprawę znakomicie, sprowadzając na jedną drogę niepotrzebnie odróżniane odcienie; 5, zgadza się z kierunkiem rozwoju języka, który oczywiście dąży ku skróceniu brzmienia *i*, jak to widać z porównania przejścia *-ije* na *-ie* w *uczenie* i t. p.; 6, daje możność wyrażania na piśmie innego, ludowego wymawiania wyrazów typu *-ja*... (*bestja, lilja* obok *bestyja, lilija*); 7, daje możność niedwuznacznego wskazania ilości zgłosek i sposobu wymówienia dotyczących wyrazów w poezyi; 8, uwalnia *i* i *y* od odgrywania niewłaściwej im roli spółgłoskowej; 9, opiera się na dość rozgałęzionym zwyczaju wielu czasopism i książek; 10, oszczędza pewien procent znaków, a tem samem przysparza czasu piszącym; 11, nadzwyczaj łatwą jest do wytłumaczenia i zrozumienia; 12, oszczędza niemiłego dla oka, a przez wszystkie pisownie unikanego zbiegu dwóch znaków zupełnie jednostajnych, a co innego wyrażających; bo gdy napiszemy *opinii*, to pierwsze *i* oczywiście będzie spółgłoską, a drugie samogłoską. Gdy zaś napiszemy *historya*, to naprzód rozminiemy się z prawdą, bo takiego jak w tym *y* nikt tu nie wymawia, powtóre, wyrzucimy *j*, które każdy tu przed *a* wymawia, a po trzecie, każemy odgrywać samogłosce *y* rolę spółgłoski.

Powtarzam tedy, iż słusznie zdaje mi się postąpiła Komisja językowa, nie przyjmując pisowni *-ija*; a z powyższego wywodu mojego wynika, że jeszcze słuszniejby uczyniła, polecając pisownię — *ja*.

Jednakże, jeżeli to już ma być nieodwołalnem, że mamy pozostać przy nawpół racjonalnej pisowni Deputacji, to w imię logiki i praktyczności koniecznie należy usunąć najniepotrzebniej wprowadzone rozróżnienie *-ya* od *-ia*. Posłuchajmy co w ostatniej swej Gramatyce dwutomowej mówi o tem główny niegdyś obrońca tego sposobu pisania, p. Małecki.

„Ściśle biorąc (powiada na str. 86 tomu I), we wszystkich tych cudzoziemskich wyrazach, bez wyjątku jest w ostatniej zgłosce *ia* (dwugłoska):“ — jabym powiedział: *ja* — „że zaś w syllabach *cya. sya, zya, rya, dya* i *tya* piszemy *y* zamiast *i*: to tylko z ubocznych powodów...“ A gdzieindziej znowu (II, 531): „Że zaś np. w *sesya, porcya, Horacya, melodya*, zamiast łacińskiego *ia* (*io*) my *ya* dajemy — to tylko rzecz graficzna: to nasze *„ya“* rzeczywiście jest *ia*;“ — jabym powiedział: *ja* — „a piszemy tak (może i niepotrzebnie) jedynie przez wzgląd na to, że np. w *sesyjka, porcyjka, Horacy, melodyjny* widzimy *y*, zatem dla jednostajności.“ Tutaj, jak widzimy, szanowny autor pomija zupełnie wzgląd „ostrożności, aby się spółgłoski nie miękczyły“ i dodaje znaczące słowa: „może i niepotrzebnie.“

Zaiste, bardzo niepotrzebnie! To scholastyczne, na niczem nie oparte rozróżnienie na to chyba się czyni, aby utrudnić pisownię naszą i bez tego dość już trudną; aby umysły uczącej się dziatwy obarczyć „dystynkcją“ w duchu Tomasza z Akwinu; aby sprowadzić zamęt, bo pomyłki będą tu niezawodnie na każdym kroku; i aby pasować nie tylko *i*, ale i *y* na spółgłoskę, i to wymawianą, co do grubości, zupełnie inaczej od jednostajnie piszącej się samogłoski.

Zamykając rzecz o trzecim punkcie, winienem dodać dwie uwagi: naprzód, że w pewnej kategorji wyrazów, w których na pozór, ze sposobu, przezemnie polecanego, wypadałoby pisać *j*, doradzałbym pisanie *i* lub *y*, stosownie do rzeczywistego ich wymawiania (które szczegółowo zbadać należy, a potem urządzić wyczerpujące spisy), jak np. w *Syon, chryja, tryumf, biologja, dyament* (czy może *djament*, albo *dyjament*), *mioceniczny* i t. d. Powtóre: dla poetów należałoby zostawić „licencję“ rymowania np. *imaginacja* z *szyja, mija* i t. p., z tem jednak zastrzeżeniem, ażeby wyrażali to odstąpienie od zwyczaju na piśmie, t. j. aby pisali w takich razach *imaginacija* czy *imaginacyja* (a także i w środku wiersza należałoby piśmiennie odznaczać przedłużenie o jedną zgłoskę, np. dwuzgłoskowo: *sesja* i trzyzgłoskowo: *sesija* lub *sesyja*) i aby przytem raczyli wziąć do serca, że takie rymy nie należą do wzorowych.

Co do czwartego wniosku Komisji, mianowicie co do pisowni *-ski* zamiast *zki* w *męski, francuski* i t. p., tyle tylko mam do powiedzenia, że o ile reforma ta dotycze takich wyrazów pochodnych, które mają przyrostki *-ski, -stwo*, przed któremi brzmienie osnowne (tematowe) wypada, np. *ż* w *męż-ski*, *z* w *francuz-ski*, uważam ją za zupełnie uzasadnioną i praktyczną; ale przenoszenie tej zasady i na takie wyrazy, w których niema *s* w przyrostkach, poczytuję za stanowczo błędne. W wyrazach *nizki, blizki, wązki, ślizki* itp. przyrostki nie są *-ski*, ale *-ki*, *z* zaś należy do osnowy resp. pnia. Otóż z całego, że tak powiem, ducha pisowni naszej wypada, że w takich razach przeważa u nas zasada etymologiczna czyli słoworodna. Kto poleca pisownię *niski, bliski* i. t. d., to, jeżeli chce być logicznym i z sobą zgodnym, powinien obstawać za pisaniem: *cięszki, waszki, goszki*, — *wynalasku, obrasku*, (Mickiewicz tak pisał!), — *gryść, leść, wieść* (vehere) i t. d., bo *męski* tak się ma do *nizki*, jak *paski* do *wynalazki*, *wieść* (docere) do *wieźć* (vehere), *liszki* do *nóżki*, *oćca* do *bodźca* i t. d.

Tyle miałem do powiedzenia o treści reform Komisji językowej. Pozwalam sobie teraz parę słów dodać o formie takowych, czy raczej o sposobie ich przeprowadzenia.

Jeżeli mamy brać za prawdę słowa „Przewodnika bibl.,“ przytoczone na czele tego artykułu, — a nie mamy powodu czynić inaczej, bo pan dr. Wład. Wisłocki jest członkiem Komisji językowej, brał udział w „zasadniczej i wszechstronnej w całem znaczeniu dyskusji w wigilją wigilji Bożego narodzenia, 23 grudnia r. 1883,“ głosował za przyjęciem pisowni *-ia, -ya*, jest redaktorem „Przewodnika bibl.“ i prawdopodobnie sam napisał w mowie będącą wzmiankę o czynnościach Komisji językowej; — jeżeli tedy nie mamy powodu wątpienia o dokładności tej wzmianki, to się dowiadujemy z niej o następnych ważnych dwóch faktach: naprzód, że *Komisja Akademji* pracuje nad ustaleniem *pisowni wydawnictw Akademji, wezwana* będąc do tej czynności *przez grono uczonych i literatów warszawskich*; powtóre, że w stanowieniu o sprawach lingwistycznych, na pięciu członków, wymienionych we wzmiance „Przewodnika,“ przyjmuje udział i głosuje *dwóch lingwistów* (predykaty te z naciskiem wymienia wzmianka „Przewodnika“), a trzech nie-lingwistów. Kto są trzej jeszcze członkowie Komisji (bo wszystkich jest ośmiu), „Przewodnik“ nie mówi. Jeżeli mię nie mylą prywatne wiadomości moje, to i ci trzej niewymienieni uczeni nie są również lingwistami.

Z faktu pierwszego nie podnoszę ani słowem tej okoliczności, że Komisja językowa pracuje dopiero na wezwanie uczonych i literatów warszawskich, oraz że ustala pisownię tylko dla swoich, t. j. Akademji wydawnictw. Przysłowie powiada: wolnoć Tomku w swoim domku. Zaznaczam więc tylko te okoliczności i dążę do wynikającego z nich a do wszystkich nas obchodzącego wniosku, że ustalenie pisowni, rozpoczęte obecnie w Krakowie, nie ma być prawem, a przynajmniej wskazówką lub radą, poleconą wszystkim drukującym i piszącym po polsku, którejby powaga, tem samem że pochodziłaby od Akademji, stała się prawem wszystkich moralnie obowiązującem, — o co od tak dawna ze wszech stron proszono, czego się domagano i oczekiwano, — lecz tylko schematem, sporządzającym się ad usum wydawnictw Akademji, który jako taki, obowiązuje właściwie tylko drukarnię Akademji.

Czy skromność, czy ostrożność, czy nieśmiałość nakazywała Akademji tak postąpić, tego nie wiem i w rozbiór pytania tego nie wchodzę. Zaznaczam tylko fakt: że oddawna wypowiadanym pragnieniom ogółu naszego, które są wyrazem istotnej potrzeby, obecne postępowanie Akademji nie czyni zadość.

Lecz ponieważ właściwie nic jeszcze nie jest straconem, więc zostaje nam nadzieja. Cieszmy się nią i prośmy znowu Akademję, żeby raczyła pomyśleć o ustaleniu pisowni nie tylko dla swoich wydawnictw, ale dla całego kraju. Czekaliśmy długo i nadaremnie; zaczekajmyż jeszcze. Może właśnie ta zwłoka wyjdzie nam na lepsze; może powolne rozpatrzenie punktów spornych, może próba wprowadzenia reformy do wydawnictw samej tylko Akademji i rozbudzona przez to uwaga publiczna oraz przewidywać się dająca ponowna dyskusja tem lepiej, trwalej i gruntowniej sprawę tę załatwić dopomogą.

Nim to nastąpi, korzystam z prawa, przysługującego każdemu, kto pragnie, iżby sprawa pisowni naszej weszła na drogę ostatecznego ustalenia i wyrażam tu kilka myśli, które, zdaje mi

się, dopomódz nieco zdołają do praktycznego a skutecznego sprawy tej załatwienia.

Otóż mniemam naprzód, że wezwać należy wszystkich lingwistów polskich, aby nad ustaleniem pisowni naszej znowu wszechstronnie się zastanowili; aby zdania swoje, obszernie wymotywowane, Akademji złożyli; aby te ich uwagi Akademja drukiem ogłosiła; aby potem wyznaczono pewien termin do dyskusji publicznej; i aby nareszcie nad ostatecznie sformułowanemi punktami spornemi odbyto głosowanie, niekoniecznie ustne. W głosowaniu tem powinniby, na wezwanie Akademji, przyjąć udział wszyscy lingwiści polacy, i to sami tylko oni, bez udziału nie-specyalistów. Jeżeliby nie było jednogłośności lub wielkiej przewagi głosów względem szczegółowych punktów, to, co do nich odwołaćby się można do jednego lub kilku lingwistów słowiańskich, posiadających najwięcej uznania w świecie uczonym, Poczem tak ustalone już przepisy należałoby ogłosić, jako obowiązujące dla wszystkich piszących i drukujących po polsku.

Wielkiem ułatwieniem tej rzeczy byłoby czasopismo językowe, któreby Akademja mogła i powinna była wydawać, — co ośm lat temu proponowałem w tomie IV „Rozpraw... wydziału filol. Akademii Um.“ (str. LXI).

Tą tylko drogą, zdaniem mojem, ważna i długo nierozstrzygana sprawa pisowni naszej pomyślnie dla ogółu i z chwałą dla Akademji załatwić się może. Dopóki, jak obecnie, wyrokować o niej będą nie-specyaliści, a uchwały przeznaczać się będą tylko dla wydawnictw Akademji, dopóty powaga uchwał tych pozostanie wątpliwą i obowiązującą chyba tylko małą garstkę osób, niewiedzących ani o doniosłości, ani o tymczasowym charakterze tej sprawy.

Jan Karłowicz.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawa dróg poleskich, które z pod zarządu ministeryum komunikacyj przejść miały pod zarząd ministeryum wojny, przyczem roboty powierzone być miały gen. Annenkowowi, weszła w nową fazę. Ministeryum komunikacyj pozostaje przy zarządzie a budowę prowadzić będzie dalej inżenier Chrzanowski.

Rosyjskie towarzystwo historyi i archeologii zaprosiło na członków honorowych profesorów uniwersytetów: lwowskiego — Izydora Szaraniewicza i Tadeusza Wojciechowskiego, krakowskiego—Smolkę i Bobrzyńskiego i warszawskiego—Adolfa Pawińskiego.

Kwestya prawna. Sąd Okręgowy humański przyznał, że testament osoby pochodzenia polskiego, rozporządzający majątkiem nieruchomym na rzecz spadkobiercy prawnego, winien być uznany za ważny, ponieważ ukaz z d. 10 grudnia 1865 r. nie ma na celu ograniczenia wolności testowania.

Czynszownicy. W trzech południowo-zachodnich guberniah liczba czynszowników wynosi przeszło 220,000 głów; w posiadaniu ich znajduje się 207,000 dziesięcin ziemi.

Kobiety lekarze. W liczbie 40 kobiet, które obecnie ukończyły kursa medyczne w Petersburgu, znajdują się 2 polki: panna Jesipowicz z Witebska i p. Ida Poznańska z Kalisza.

Miejscowe władze skarbowe w Królestwie mają być zorganizowane na wzór urządzeń istniejących w Cesarstwie.

Biblioteka główna, według sprawozdania urzędowego, liczyła 183,165 dzieł w 332,939 tomach, 1303 rękopisów i 6218 map, litografij, rysunków i nut. Oprócz tego w czytelni studenckiej znajdowało się 8231 dzieł w 12.863 tomach.

Jubileusz. Dnia 19 kwietnia we Wrocławiu obchodzono 50-letni jubileusz naukowej działalności prof. dra Roepella. Prof. Nehring wręczył mu przy stosownej przemowie album pamiątkowe od historyków polskich a krakowska Akademia umiejętności i poznańskie towarzystwo przyjaciół nauk przysłały adresy, wyrażające uznanie dla znakomitego a bezstronnego badacza dziejów Polski i zacnego człowieka.

Uroczystość w Collège de France. Dnia 12 kwietnia w jednem z audytoryów w Collège de France umieszczono wielki medalion pamiątkowy ku uczczeniu pamięci Mickiewicza, Michéleta i Quineta. Uroczystość zagaił wielki przyjaciel zmarłych Armand Lévy, po nim przemawiał pięknie Renan. Następnie zabierali głos: p. Gadon w imieniu polaków, przedstawiciele Włoch, Rumunii itd. Pomiędzy nadesłanymi telegramami wyróżniały się od Castelara i prof. Santagaty. Jakby na podziękowanie za tę część okazaną naszemu narodowemu poecie niektóre klerykalne pisma polskie nie mogły powstrzymać się od złośliwych docinków, skierowanych do Renana.

Instytut przemysłowo - handlowy ośmioklasowy otwarty będzie w Łodzi zamiast istniejącej tam szkoły wyższej rzemieślniczej.

Statystyka szkolna. W gimnazyach i progimnazyach 5 gubernij północno-zachodnich liczono 1758 uczniów wyznania prawosławnego, 1882 katolików i 1435 żydów. W szkołach realnych katolicy stanowili 47% a żydzi 19% uczących się, wreszcie w szkołach miejskich i powiatowych znajdowało się 1432 prawosławnych i 2082 katolików i żydów. Tylko w szkołach elementarnych prawosławni stanowią większość.

Pożyczka miejska. Otwarte d. 28 kwietnia w Banku polskim podpisy na pożyczkę kanalizacyjną powiodły się nadspodziewanie, żądana suma została kilkakrotnie pokrytą, nastąpić więc musi tak zwana repartycya pożyczki.

Konkurs. Towarzystwo lekarskie warszawskie ogłasza dwie nagrody po 300 rs. każda z zapisu dra Koczorowskiego, które przyznane będą za najlepsze rozprawy w języku polskim z zakresu nauk przyrodniczych w zastosowaniu do medycyny lub hygieny. Wyznaczone zostały dwa tematy: 1) zbadać warunki mechanicznego oczyszczania wody wiślanej; 2) zbadanie ilości i jakości szkodliwych zdrowiu grzybków zawieszonych w powietrzu pewnej danej miejscowości: w teatrze, szpitalu, sali szkolnej itp.

Wyrób tytoniu. W r. 1883 znajdowało się w Cesarstwie i Królestwie 431 fabryk tabacznych, które wyrobiły 2,579,382 pudów. Akcyza zaś od tytoniu przyniosła w tym czasie 16,737,000 rs

Zbieranie jagód i grzybów w lasach rządowych, które wywoływało mnóstwo zatargów i spraw zostało dozwolone każdemu, bez żadnych ograniczeń.

Szkoła ogrodnicza dla kobiet otwartą zostaje z d. 7 maja przy muzeum pszczelniczem na Koszykach. Będzie ona obejmować trzy działy: warzywnictwo, sadownictwo i kwiaciarstwo.

Statystyka lekarskie. Według obliczeń urzędowych w Cesarstwie znajduje się około 2,000,000 syfilityków. Departament medyczny twierdzi, że w Niemczech syfilis przeszedł wszystkie fazy swojego rozwoju i dziś już obumarł, we Francyi znajduje się w fazie przesilenia, w Rosyi zaś wchodzi zaledwie w pierwszy okres swego rozwoju.

Bibliografia polska. Edward Jankowski *Ogrody polne.* Warszawa. Książeczka ta przeznaczona jest dla włościan i właścicieli mniejszych posiadłości ziemskich.

— Kazimierz Król *Słownik* naukowy rosyjsko-polski dla uczniów i uczennic.

— Paweł Byczkowski *Sposób nauczenia się po czesku* w 18 lekcyach. Warszawa. Lesman i Świszczowski.

Wydatki papieża wynoszą rocznie 16 milionów lirów, z tego 6 milionów na własną osobę. Nazywa się to naśladowaniem Chrystusa, który chodził boso i głosił ubóstwo.

Ze statystyki Galicyi. Według wykazów prof. Pilata sądy galicyjskie w dziesięcioleciu od 1873—1883 sprzedały 23,237 posiadłości włościańskich, których wartość szacunkowa wynosiła 23 mil. zlr. Najwięcej licytacyj odbyło się w powiatach sądowych samborskim 459, szczerzeckim 399, bialskim 381, lwowskim 316 itd.

Ciekawe. Zmarły niedawno w Kolonii cenzor Daleschal wykreślił ogłoszenie *Gazety reńskiej*, oznajmiające o tłomaczeniu *Boskiej komedyi* Dantego i dodał uwagę: „z boskich rzeczy nie należy robić żadnych komedyj.“

Zmarli: Tomasz Lebrun, b. współpracownik *Kur. codziennego* i redaktor *Gazety muzycznej i teatralnej*, autor kilku komedyj.

Reformy tureckie. Sultan Abdul-Hamid zamierza wprowadzić do Turcyi stan szlachecki i zobowiązać wszystkich swoich poddanych, żeby przyjęli rodowe nazwiska. Do zupełnego szczęścia poddanych padyszacha tego tylko brakowało.

OFIARY.

Na budowę domu sztuk pięknych. B. W. rs. 1.

Na szpital Jana Bożego. Nieprzyjęte przez p. L. P. i zostawione do rozporządzenia rs. 2 składa S.

Dla studentek w Petersburgu. Rutkowski z Wilkomierza kop. 50; Nowakowski Franciszek rs. 1.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Апрѣля 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.